

PENNY JORDAN

**Małżeństwo nie
wchodzi w grę**

PROLOG

W trakcie każdego wesela odbywającego się w Wielkiej Brytani przychodzi taka chwila, w której panna młoda rzuca w tłum gości swój strojny ślubny bukiet. Ta spośród niezameżnych przedstawicielek płci pięknej, która zdoła go pochwycić, ma ponoć — zgodnie z tradycyjną wróżbą — jako pierwsza wyjść za mąż.

Wesele Sally i Chrisa odbywało się w niewielkim, ale sympatycznym hotelu, w którym goście — a także państwo młodzi — mogli nie tylko biesiadować i tańczyć w przestronnej sali restauracyjnej na parterze, ale również wypoczywać w przytulnych pokojach na piętrze.

— Wiesz co, kochanie, lepiej zejdzmy już na dół, bo goście zaczną snuć domysły, dlaczego nas tak długo me ma i co też na osobności robimy — oświadczył z figlarnym uśmiechem swojej świeżo zaślubionej małżonce Chris, po dłuższej chwili spędzonej z nią sam na sam w hotelowym pokoju.

— Ech, tak mi tu z tobą dobrze, mój mężu! — westchnęła Sally.

— Mnie też dobrze z tobą, kochanie, ale goście...

— Ciii. Wiesz co, Chńs? Dzisiaj jest najszczęśliwszy dzień w moim życiu!

— I w moim, kochanie — stwierdził z powagą młody małżonek, całując swoją połowicę w rękę.

— No, ale goście... - roześmiała się Sally, nie kończąc zdania.

- Właśnie. Powinnaś się im jeszcze raz pokazać w welonie i białej sukni, no i cisnąć w nich swoim ślubnym bukietem.

Niech się dziewczyny biją o twoją wiankę, niech sobie wróżą, która pierwsza wyjdzie za mąż!

- Racja, kochanie! Sama jestem ciekawa, która teraz pójdzie w moje ślady.

— No, więc chodźmy

— Idziemy!

Sally przejrzała się w dużym lustrze i trochę poprawiła na sobie efektowną ślubną suknię z białego atłasu, długą do ziemi i z trenem. Chris z atencją podał małżonce ramię. Raz jeszcze spojrzeli, sobie w oczy i obdarowali nawzajem gorącym pocałunkiem, po czym opuścili swoje przytulne ustronie.

Korytarzem pierwszego piętra doszli do szczytu schodów, by zaprezentować się z góry zgromadzonemu w sali recepcyjnej

gościom. Przyjęci burzliwymi oklaskami i gromkimi wiwatami, zaczęli schodzić na dół.

Na którymś z kolei stopniu panna młoda, przyzwyczajona, na co dzień do dzinsów i spódnic mini, stąpnęła jakoś niezręcznie, zaplątała się pechowo w swój tren, straciła równowagę, pociągnęła za sobą pana młodego i... Koniec końców, po kilku ostatnich stopniach — na szczęście wyłożonych miękkim i grubym dywanem — zsunęli się w pozycji siedzącej, niczym po dziecięcej zjeżdżalni!

Zjazd nie był długi ani bolesny, ale wśród gości wywołał spore poruszenie. Ktoś rzucił się w stronę Sally, żeby pomóc jej wstać, ktoś w stronę Chrisa.

Tak się złożyło, że bukiet upuszczony przez wystraszoną pannę młodą „i pokonujący samodzielnie drogę z góry na dół, uchwyciły równocześnie aż trzy pary filigranowych damskich rączek.

Mimowolnymi zdobywczyniami wróżebnej wiązanki okazały się, ku własnemu ogromnemu zdziwieniu, trzy niezameżne kobiety: Poppy — młodziutka kuzyneczka Chrisa, Star — najbliższa przyjaciółka Sally oraz Claire — druga żona jej nieżyjącego już ojca.

— Wielkie nieba, trzy śluby — wykrzyknęła Sally, gdy już stanęła na nogach i zorientowała się, co zaszło. — Ale wróżba! Aż trzy śluby nam się szykują w niedługim czasie. Poppy! Star! Claire!

Wszystkie trzy panie energicznie zaprotestowały.

— Nie!

—Nie!

—Nie!

— Przecież ja ciebie chciałam złapać, a nie twój bukiet — wyjaśniła Poppy.

— Rzuciłam się na oślep, żeby wam pomoc na tych schodach — odezwała się tonem perswazji Star.

— To czysty przypadek, że te kwiaty wpadły w ręce akurat mnie — oświadczyła Claire.

- To nie żaden przypadek, tylko zrzędzenie losu — obstawała przy swoim Sally. — Powychodzicie już niedługo za mąż, moje kochane! Taka weselna wróżba zawsze się sprawdza, na sto procent.

Znowu zabrzmiała seria protestów:

- Przesąd.

- Bzdura.

- Bajka dla grzecznych dzieci.

— Zobaczymy! Przekonamy się — stwierdziła z uśmiechem panna młoda.

Weselna ceremonia trwała nadal już bez nieprzewidzianych wydarzeń. Były życzenia dla nowożeńców, toasty i uroczyste przemowy, były chóralne śpiewy zgromadzonych przy biesiadnym stole gości, były także tańce.

Wróżebny bukiet panny młodej leżał sobie spokojnie na małym stoliku ustawionym pod ścianą w kącie sali. Wszyscy o nim zapomnieli. Traf jednak chciał, że w którymś momencie znalazły się równocześnie w jego pobliżu Star, Poppy i Claire. Wszystkie trzy, jak na komendę, najpierw zerknęły na kwiaty, a potem spojrzały po sobie.

— Dziewczyny to beznadziejny stary przesąd z tym bukietem — odezwała się Star. — Nie wiem, jak wy, ale ja me mam najmniejszego zamiaru wychodzić za mąż, mogę wam to uroczyście przysiąc! Małżeństwo mnie nie interesuje, bo to skostniały przeżytek. W dzisiejszych czasach liczy się przede wszystkim kariera.

— Ja także, broń Boże, nie wybieram się do ślubu —
stwierdziła z przekonaniem Claire. — Wolę być młodą wdową
niż podstarzałą mężatką. W moim przypadku małżeństwo nie
wchodzi w grę!

— Och, ani w moim - oświadczyła z westchnieniem Poppy.

— Skoro Chris związał się małżeńską przysięgą z inną
kobietą, to ja... - Umilkła na moment i pociągnęła noskiem,
jakby za chwilę miała się rozplakać. — To ja już nigdy się nie
zakocham - dokończyła zdesperowana.

— Wypijmy za naszą wolność — zaproponowała Star,
sięgając po zapomnianą butelkę szampana, która stała na
stoliku obok bukietu i najwyraźniej czekała na otwarcie.

— Wypijmy — skwapliwie podchwyciła propozycję Claire,
ustawiając szeregiem trzy kielichy.

— Skoro Chris już się związał z inną kobietą, to wypijmy — z
rezygnacją zgodziła, się Poppy.

— Precz z przesądami!

— Nigdy za mąż!

— Precz z małżeństwem!

— Niech żyje wolność!

— Niech żyje!

— Niech Żyje!

Trzy kielichy, dzierżone przez trzy damskie dłonie, uniosły się do góry i z lekkim brzękiem szkła stuknęły o siebie. Anty małżeński pakt został przypieczętowany, anty ślubna koalicja została zawarta.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wesele się skończyło, goście w większości rozeszli się do domów. Jedynie mała grupka najbliższych krewnych i przyjaciół państwa młodych biesiadowała jeszcze w opustoszałej hotelowej restauracji.

Nasza mała Sally miała ślub, co się zowie, po prostu wspaniały - pomyślała Claire Marshall, przypominając sobie przebieg uroczystości. Wielka szkoda, że jej ojciec nie dożył tego cudownego dnia.

Ojciec Sally, John Marshall, nie żył już od przeszło dwu lat. Claire była jego drugą żoną; ta pierwsza, Paula, zmarła tuż po przyjściu na świat Sally, w wyniku jakichś komplikacji poporodowych.

Claire owdowiała bardzo wcześnie, jeszcze przed ukończeniem trzydziestego drugiego roku życia, w chwili ślubu pasierbicy była, więc młodą, trzydziestoczteroletnią zaledwie kobietą. Sally bardzo często ostatnimi czasy, odkąd sama zdecydowała się wyjść za mąż za Chrisa podsuwała jej myśl o ułożeniu sobie życia u boku jakiegoś nowego partnera. Claire nieodmiennie jednak pomysł powtórnego zamążpójścia odrzucała. Za każdym razem powtarzała przybranej córce, że drugiego tak wspaniałego, troskliwego, czułego, kochającego męża, jak John, z całą pewnością nie znajdzie, więc nie powinna kusić losu i szukać.

— Cudowny ślub miała nasza Sally, prawda?

To Star, najbliższa przyjaciółka panny młodej, wytrąciła Claire z zamyślenia, podchodząc do niej w towarzystwie Poppy i wypowiadając głośno te słowa.

— Szczęściara z niej - westchnęła z melancholią Poppy, nieutulona w żalu kuzynka pana młodego.

Claire pokiwała potakująco głową. Wiedziała od Sally, że Poppy jest od lat beznadziejnie, bez wzajemności zakochana w Chrisie.

- Ale ja nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy, przenigdy - ze łzami w oczach powtórzyła złożone już wcześniej zapewnienie Poppy.

- Ani się nie zakocham!

- Ani ja! Nie mam zamiaru potem przez całe życie usługiwać mężowi i dzieciom, wolę zrobić karierę zawodową i żyć samodzielnie, na własny rachunek — stwierdziła Star. — Przede wszystkim kariera, tak sobie zawsze myślę. I liczę w życiu wyłącznie na siebie, na nikogo więcej.

— Ja też — chlipnęła solidarnie Poppy.

— Och, uważajcie dziewczyny, żebyście się przypadkiem nie przeliczyły! — pół żartem, pół serio przestrzegła Claire dwie zbuntowane przeciw małżeństwu młode panny. — Przecież według tej wróżby ze ślubną wiązką obydwie powinnyście w najbliższym czasie...

— Chwileczkę, przecież równocześnie wszystkie trzy dotknęłyśmy ślubnego bukietu, upuszczonego przez Sally. Ty też - przerwała jej Star.

— Właśnie, ty też — powtórzyła jak echo Poppy.

Claire roześmiała się.

— Dziewczyny, ja to zupełnie co innego — wyjaśniła swoim rozmówczyniom. — Ja przecież jestem wdową, miałam już

męża, brałam już ślub. W moim przypadku małżeństwo naprawdę nie wchodzi w grę, ja się tutaj nie liczę.

— Liczysz się, liczysz — zaproponowała Star. — Zobaczysz, jeszcze tak się wszystko ułoży, że to właśnie w twoim przypadku ta wróżba z bukietem się sprawdzi... Bo w moim na pewno nie!

— Ani w moim - dorzuciła Poppy.

— Cóż, w moim też nie, mogę was zapewnić — stwierdziła Claire.

— Mhm, jeszcze się przekonamy — mruknęła nieustępliwie Star.

— Właśnie! Przekonajmy się - podchwyciła jej słowa Claire. Spotkajmy się dokładnie za trzy miesiące, na obiedzie. Ja zapraszam! Spotkamy się i opowiemy sobie szczerze, co słyhać, czy coś się czasem u którejś z nas nie kroi. Zgoda, dziewczyny?

- Zgoda.

— Zgoda, jesteśmy umówione.

— Ja już się cieszę na ten nasz wspólny babski lunch - powiedziała z uśmiechem Star.

— W jakimś dobrym lokalu, ma się rozumieć — podkreśliła Claire - Ja zapraszam i ja stawiam jako autorka pomysłu.

— Pamiętajcie, od dziś za trzy miesiące — przypomniała całej trójce Poppy.

Nazajutrz po weselu Sally i Chrisa, kiedy państwo młodzi byli już w podróży poślubnej, jadąc na Seszele, wpadła po południu do Claire na pogawędkę i herbatkę siostra jej zmarłego męża, Irene Burbridge.

Zaraz na samym wstępie rozmowy zadała szwagierce dość obcesowe pytanie:

— Skoro wydałaś już Sally za męża, to co zamierzasz zrobić ze swoim własnym życiem, moja droga?

— Ja? Co zamierzam robić? — Zaskoczona Claire nie bardzo wiedziała, jak sformułować odpowiedź. — No cóż, raczej nic szczególnego, Irene. Nie planuję i nie spodzie wam się żadnych zasadniczych zmian w moim życiu. Wezmę może kilka dodatkowych godzin w szkole. To chyba wszystko, na co mnie w tej chwili stać.

Claire Marshall, nauczycielka z zawodu, pracowała w niepełnym wymiarze godzin w lokalnej szkole dla dzieci specjalnej troski. Podjęła tę pracę wkrótce po śmierci męża,

nie po to bynajmniej, żeby zarabiać w ten sposób na swoje utrzymanie, ponieważ John; jako człowiek majątny, w wystarczający sposób zabezpieczył ją i ale po to, żeby nie koncentrować się wyłącznie na własnym cierpieniu i osamotnieniu, a zająć się również problemami innych.

— Parę godzin w szkole i to wszystko, powiadasz. Hmm — zamyśliła się Irene. — Sally się od ciebie wyprowadza, prawda? -

No tak... Ma się rozumieć! Młodzi chcą być na swoim, to chyba oczywiste, nie uważasz?

- Uważam, uważam — przytaknęła Irene, kiwając głową. — Ale ten dom taki duży! — Rozejrzała się po obszernym salonie stylowej edwardiańskiej rezydencji, pozostawionej Claire w spadku przez Johna Marshalla. Trochę chyba za duży, jak dla jednej osoby, moja droga.

— Troszeczkę chyba tak, Irene, ale cóż ja na to mogę poradzić?

— Mogłabyś sobie wziąć lokatora!

— Lokatora? — zdziwiła się Claire.

- A dlaczego nie? Zawsze trochę byś na wynajmie pokoju zarobiła. I byłoby ci chyba różniej mieszkać w tym rozległym

domostwie z kimś, a nie samej jak ten palec. Oczywiście, z kimś zaufanym i na poziomie, nie z jakimś przypadkowym indywiduum z ogłoszenia, Boże broń!

Claire Marshall uśmiechnęła się znacząco i zapytała szwagierkę:

— Czyżbyś przypadkiem miała dla mnie tego zaufanego człowieka?

Irene zarumieniła się lekko i odpowiedziała troszkę za kłopotana:

— No, prawdę mówiąc... Owszem!

— A któż to taki, mogłabym się dowiedzieć? — zainteresowała się Claire.

— To... hmm... kolega Tima.

- Kolega twojego męża?

- No tak. Właściwie współpracownik.

Tim Burbridge, mąż Irene, pracował na kierowniczym stanowisku w lokalnym, brytyjskim przedstawicielstwie firmy, mającej swoją centralę za oceanem, w Stanach Zjednoczonych, a zajmującej się sprzedażą i instalacją urządzeń klimatyzacyjnych.

- Amerykanin?

— Tak, ma być oddelegowany na jakiś czas do Anglii. Rozmawiał z Timem przez telefon. Nie chce mieszkać w żadnym hałaśliwym pensjonacie czy hotelu, zastrzegł, że potrzebuje spokoju i domowych warunków, ale samodzielnego, mieszkania też sobie nie wynajmie, bo jest bez rodziny, a zresztą nie będzie tu zbyt długo.

Wybredny — wtrąciła Claire, przerywając szwagierce jej długi i skomplikowany wywód.

— Och, nie da się tego ukryć, moja droga - przytaknęła Irene.

I ma trochę nietypowe potrzeby, jak na młodego amerykańskiego praktykanta.

— Ależ to nie jest żaden praktykant, Boże broń! — obruszyła się Irene. Moja droga, ja przecież nigdy bym cię nie namawiała do przyjęcia pod wspólny dach jakiegoś tam niedowarzonego młodzika! To stateczny, dojrzały mężczyzna, już pod czterdziestkę, poważny człowiek, na stanowisku.

- Wysokim?

- No, dosyć. Prawdę mówiąc — nie bez pewnych oporów przyznała się Irene — to jest właściwie zwierzchnik mojego męża.

- Zwierzchnik Tima?

— Mówiąc ściśle to nawet współwłaściciel firmy, która Tima zatrudnia. Wprawdzie tylko jeden z wielu, bo to firma rodzinna, a rodzina liczna i mocno rozgałęziona, ale zawsze...

- Gruba ryba - weszła szwagierce w słowo Claire.

- Ano właśnie! - przytaknęła Irene.

— Czy mam rozumieć, że nasz biedny Tim szuka swemu amerykańskiemu bossowi mieszkania po prostu na służbowe polecenie?

— No, może nie całkiem na polecenie. To była raczej tylko sugestia, delikatna sugestia, a właściwie prośba ze strony tego Amerykanina.

— Tylko, że prośbę szefa lepiej przezornie potraktować jak rozkaz, tak?

— O właśnie - roześmiała się Irene Niemal natychmiast jednak spoważniała. — Wiesz, Claire — zaczęła zwierzać się szwagierce konfidencjonalnym tonem — mój mąż ma ostatnio trochę problemów w pracy. Obroty firmy spadły tu u nas, w Wielkiej Brytanii, lokalna konkurencja zanadto podniosła głowę, amerykańska dyrekcja nie jest zachwycona. Zaczynają przebąkiwać, że trzeba działać ostrzej, że Tim jest za mało

ekspansywny Bardzo nam obojgu zależy na tym facecie, rozumiesz!

— Irene, to czemu nie zaproponujecie mu, by zamieszkał w waszym domu - palnęła Claire. — Przecież odkąd dzieciaki się wam ulotniły, Peter na studia, a Louise do pracy za granicę, aż do Japonii...

— Nie wypada nam, moja droga, po prostu nam nie wypada! Szef i podwładny pod jednym dachem? Ktoś mógłby posądzić Tima i tego Amerykanina o jakieś tam ciche powiązania, sekretne konszachty i tak dalej. Niezręczna sytuacja i tyle. Ten człowiek nigdy by się zresztą na taki układ nie zgodził.

— A zgodzi się zamieszkać u mnie?

— Mam nadzieję — wykrztusiła Irene i opuściła pośpiesznie głowę, nie dość szybko jednak, by Claire nie zdążyła zauważyć napływających jej do oczu łez.

Skonfundowana Irene zarumieniła się i sięgnęła do torebki po chusteczkę.

- Tak wam na nim zależy? To naprawdę taka poważna sprawa z tym Amerykaninem - zaczęła wypytywać szwagierkę zatroskana Claire.

Irene przetarła oczy i pokiwała głową.

— Bardzo poważna, moja droga — stwierdziła posepnym tonem. — Szczerze mówiąc, Tim boi się o pracę, obawia się, że jeśli ten facet wyda o nim, o jego operatywności, ekspansywności kiepską opinię, to Amerykanie, tamci bossowie z centrali, zbiorą się na posiedzeniu zarządu i po prostu wyleją go z roboty!

— To znajdzie sobie inną! Jest przecież dobrym fachowcem, ma ogromne doświadczenie.

- I, niestety, pięćdziesiątkę na karku, moja droga.

Pięćdziesiątkę -podkreśliła dobitnie Irene: — Dzisiejsi pracodawcy nie przepadają za ludźmi w tym wieku, muszę ci powiedzieć. Wolą nieopierzonych nowicjuszy. Twierdzą, że młodzi ludzie są bardziej dynamiczni, chłonni, otwarci na innowacje i eksperymenty, że szybciej i łatwiej się uczą nowych metod pracy.

— To kompletne bzdury - zaproponowała energicznie Claire. — Przecież człowiek się uczy, rozwija, nabiera nowych umiejętności nie do jakiegoś tam określonego wieku, ale przez całe życie. Tak przynajmniej utrzymuje nowoczesna pedagogika. Ludzkie możliwości są ogromne, niemal niewyczerpane. Nawet możliwości te kich pokrzywdzonych

przez naturę dzieci, jak te, z którymi ja pracuję. Każdy człowiek ma prawo... Każdy człowiek powinien się rozwijać, doskonalić, stale, nieustannie.

Wszyscy mamy jakieś możliwości rozwojowe, duże możliwości. Trzeba tylko... Trzeba patrzeć w przód, Irene, a nie wstecz, trzeba pokonywać w sobie rutynę, skostnienie, wygodnictwo, ospałość, lenistwo, wewnętrzny bezwład! I to przez całe życie: przed trzydziestką, po trzydziestce, po czterdziestce, po pięćdziesiątce i tak dalej, póki siły pozwalają.

— Piękny program, moja droga! — stwierdziła z uznaniem Irene.

— Prawda?

- Ale trudny! — dodała.

— Chyba tak.

— Piekielnie trudny!

— Ale, jak sama powiedziałaś, piękny. I nieodzowny!

— Tak sądzisz?

Oczywiście!

— Więc co zamierzasz teraz zrobić ze swoim własnym życiem, kiedy już wyprawiłaś Sally weselisko i zostałaś sama w tym wielgachnym domu? — Irene powróciła nie oczekiwanie do pytania, które już raz zadała szwagierce, na samym początku rozmowy.

— Hmm... — zamyśliła się Claire. — Tak, jak ci mówi łam, spróbuję popracować trochę więcej w mojej szkole, no i może jeszcze... — Zawiesiła głos.

- Tak?

— Spróbuję trochę urobić tego Amerykanina, jak już wynajmę mu pokój! Spróbuję mu wytłumaczyć, że mój szwagier, Tim Burbridge, to świetny facet i wspaniały fachowiec, z doświadczeniem, ale i z przyszłością, mimo pięćdziesiątki na karku.

— Och, Claire, ty nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo ci jestem wdzięczna! Masz taką dobrą rękę do ludzi, takie wspaniale podejście, że na pewno...

— Spokojnie, Irene. Bez przesady — przerwała szwagierce Claire. — Pamiętaj, że jeśli mój pedagogiczny eksperyment się nie powiedzie, jeśli ten amerykański boss nie da się

przekonać albo jeśli po prostu nie będzie zadowolony z mieszkania u mnie, to...

— Na pewno będzie zadowolony, moja droga! Masz przecież dom z pięknym ogrodem, w spokojnej i eleganckiej willowej dzielnicy, ale niezbyt daleko od centrum miasta, możesz mu odstąpić pokój z łazienką i jeszcze drugi na gabinet — zaczęła wyliczać Irene.

— Aż tyle? — zdziwiła się Claire.

— Jankesi nie są przyzwyczajeni do ciasnoty, moja droga. Ameryka to kraj wielkich przestrzeni.

- Racja - przyznała Claire. - Niech więc będzie: mogę mu odstąpić pokój Sally, z osobną łazienką, jako sypialnię i sąsiedni gościnny jako gabinet, umowa stoi. I tak mi przecież zostaną jeszcze trzy wolne pokoje na piętrze. Tylko pamiętaj, Irene - zastrzegła — że gdyby ten facet, ten Amerykanin, mimo wszystko nie był zadowolony z mieszkania u mnie, to całą swoją złość, a przynajmniej sporą jej część, wyleje na Boga ducha winnego Tima. I przy okazji wyleje go z pracy. Sprawa jest więc troszeczkę ryzykowna.

— Trudno, Claire. Bez ryzyka nie ma wygranej.

— Brawo, Irene! Jak coś takiego mówisz, to mi się zaraz podobasz o wiele bardziej, niż kiedy ze strachu pochlipujesz — stwierdziła z filuternym uśmiechem Claire.

— Zaryzykujmy więc! Skontaktuj mnie z łaski swojej z tą amerykańską grubą rybą, jak tylko się zjawi na naszych pięknych wyspach. Niech wpadnie, mech obejrzy swoje ewentualne lokum. A kiedy właściwie ten facet przylatuje do Anglii?

— Kiedy on przylatuje? No... Już jutro! — wykrztusiła Irene.

— Jutro? To dlaczego ja się o tym dowiaduję dopiero dzisiaj?

— Przed weselem nie chciałam ci zawracać głowy.

— Dzięki za troskę!

— Nie ma za co — odpowiedziała z powagą Irene. — Nie martw się, moja droga, Tim zarezerwował temu Amerykaninowi pokój w hotelu na pierwszą noc, więc spokojnie zdążysz wszystko przygotować. Masz przed sobą dzisiejszy wieczór i cały jutrzejszy dzień, od rana do popołudnia. Bo na jutrzejszy wieczór — dodała ze słodziutkim uśmiechem — ja i Tim zapraszamy cię do nas na kolację. Twój przyszły lokator też, ma się rozumieć, będzie, więc się od razu zapoznacie.

— Oszalamiająca perspektywa - zakpiła Claire.

— Prawda, moja droga? — Zaaferowana szwagierka wzięła jej słowa za dobrą monetę. — No, to lecę, skoro uzgodniłyśmy już wszystko! Mam jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia, sama nie wiem, jak do jutra zdążę z tym wszystkim. Pa!

Irene zerwała się z fotela i szybciotko wyszła. Claire została sama, z mnóstwem wątpliwości i całą masą roboty do pilnego wykonania na przyjęcie gościa.

Claire Marshall sprzątała dom zawzięcie do późnego wieczoru. Spała krótko, ponieważ nastawiła sobie budzik i od świtu znowu wzięła się do pracy.

Kiedy Haimah, najbliższa, zaprzyjaźniona sąsiadka, wpadła do niej, jak to miała w zwyczaju, na poranną kawę, zastała ją w hallu, na kolanach, ze ścierką w ręku, zajętą froterowaniem podłogi.

— O ho ho, Claire! Co ja widzę? Robisz jakieś generalne porządki, tak od samego rana?! - wykrzyknęła mocno zdziwiona, zatrzymawszy się w progu, by nie zdeptać świeżo wypastowanego parkietu.

— A robię! Na przyjęcie nowego lokatora — mruknęła dość posepnie Claire. — Robię porządki, bo chcę, żeby mój dom

zrobił na mm jak najlepsze wrażenie, a ściśle mówiąc to moja kochana szwagierka chce, żebym to ja właśnie zrobiła na mm jak najlepsze wrażenie.

Claire zreferowała przyjaciółce swoją wczorajszą rozmowę z Irene, wyjaśniając jej w ten sposób, dlaczego tak się męczy i śpieszy ze sprzątnięciem.

— Lokator, powiadasz? Amerykanin, samotny mężczyzna pod czterdziestkę, na stanowisku? Och, jakie to ekscytujące! — zaczęła się z miejsca entuzjasmować Hannah.

— Przesada — ostudziła jej zapał Claire.

- No, może trochę - zreflektowała się Hannah. - Ale w każdym razie obiecujące, musisz przyznać.

— Ja tam sobie niczego po tej historii nie obiecuję - stwierdziła z najgłębszym przekonaniem Claire. — Irene tak jakoś przyparła mnie do muru, więc się zgodziłam, chcąc nie chcąc, chyba całkiem niepotrzebnie. Dla mnie to tylko kłopot z tym amerykańskim lokatorem.

- Kochana, ty mi się tu nie zniechęcaj z góry drobnymi kłopotami. Przecież ten Amerykanin może być całkiem przystojny.

— No i co z tego? — zniecierpliwiła się Claire.

— Jak to, co? Jeśli on ci się spodoba, a ty wpadniesz jemu w oko, to zamiast lokatora, możesz mieć z niego...

- Kochanka, chciałaś powiedzieć?

- No, powiedzmy, że partnera.

— Hannah, partner jest mi potrzebny najwyżej do tenisa! Przyjmij wreszcie do wiadomości to, co ci już me raz i nie dwa powtarzałam.

— Nie gniewaj się, kochana, ale pleciesz głupstwa! Jesteś atrakcyjną młodą kobietą, w rozkwicie kobiecości, a zachowujesz się jak jakaś zgorzkniała, zmęczona życiem stara baba.

- Starą babą chyba jeszcze me jestem, ale jak dobrze pójdzie, to już niedługo mogę zostać babcią.

— Przyszywaną, więc się nie liczy! — stwierdziła autorytatywnie Hannah.

- Wiesz co, Claire? Myślę, że nie powinnaś się aż tak bardzo wczuwać w rolę matki dorosłej córki i teściowej jej męża. Matkowałaś Sally przez długi czas, to prawda, ale właściwie o ile lat ta dziewczyna jest młodsza od ciebie?

- O dwanaście.

— A widzisz! Mogłabyś równie dobrze uchodzić za jej starszą siostrę albo nawet koleżankę, z twoją dziewczęcą urodą i filigranową figurą.

- Sally też mi to kiedyś powiedziała.

— I miała rację! Zamiast niepotrzebnie udawać stateczną matronę, powinnaś się rozejrzeć i...

— Hannah, przecież wiesz, że nie cierpię, kiedy na siłę próbujesz mnie swatać.

— No, dobrze już, dobrze! Nic więcej me powiem na ten temat. Koniec, kropka. Doskonale rozumiem: brakuje Ci Johna, który był cudownym mężczyzną i wspaniałym mężem. No, ale przecież owdowiałaś już dwa lata temu, więc chyba w końcu powinnaś...

— Hannah! — ofuknęła przyjaciółkę Ciajre.

—Już milczę.

— I słusznie. Wiesz co, moja droga? Najlepiej chyba będzie, jak ty dasz sobie spokój z pouczaniem mnie w sprawach osobistych, ja dam sobie spokój z tą nie szczęsną podłogą, napijemy się spokojnie kawy i porozmawiamy o czymś neutralnym.

Brad Stevenson leciał do Wielkiej Brytanii z niewielkim doprawdy entuzjazmem.

Dlaczego? Po pierwsze - dlatego, że w swoim czasie odradzał stryjom, sprawującym wespół z nim najwyższe kierownicze funkcje w firmie, wchodzenie z amerykańską klimatyzacją na brytyjski rynek, ale przegłosowano go na posiedzeniu zarządu i inicjatywę podjęto. Za to teraz wysyłano za ocean z niewdzięczną misją uporządkowania bałaganu i upłynnienia magazynowych zapasów właśnie jego, a nie któregoś z pomysłodawców i entuzjastów robienia interesów na instalacjach do chłodzenia wnętrza w tak chłodnym i deszczowym kraju, jak Anglia.

Po drugie zaś dlatego, że obiecywał sobie już od dość dawna coś zupełnie innego niż długi i nudny służbowy pobyt w Wielkiej Brytanii.

Szczerze mówiąc, to Brad Stevenson miał już od dawna dosyć klimatyzacyjnego biznesu, nieustannej odpowiedzialności za rodzinną firmę i codziennej w niej harówki. Marzył o odpoczynku i o wielkiej przygodzie. Na przykład - o samodzielnym zbudowaniu łodzi do żeglowania po jeziorze. Albo też — niczym przed laty Krzysztof Kolumb - o dalekiej podróży do Indii.

Zafascynowany egzotycznym i tajemniczym Orientem, zaplanował sobie taką wyprawę jeszcze w młodzieńczych latach, będąc uczniem szkoły średniej. Los sprawił, że nic z niej jednak, niestety, nie wyszło. Los sprawił, że nic nie wyszło z całej jego młodości!

Ledwie skończył osiemnasty rok życia i zdał maturę, musiał zastąpić swoim młodszym braciom i siostrą rodziców, którzy zginęli w tragicznym samochodowym wypadku.

Najstarsza z piątki tych — tyleż ukochanych, co uprzykrzonych — dzieciaków, Amy, miała wtedy dwanaście lat, a najmłodszy, Doug, tylko pięć. Brad czuł się zobowiązany zapewnić małoletniemu rodzeństwu byt materialny i psychiczne oparcie, wykształcenie i opiekę, wychowanie i poczucie bezpieczeństwa. Był, więc zmuszony przedwcześnie dojrzeć, biorąc na siebie równocześnie trzy arcytrudne role: ojca, matki i udziałowca rodzinnego biznesu.

Brad Stevenson zapomniał o przygodach, o marzeniach, o osobistych sprawach i w ogóle o sobie. Przez długich dwadzieścia lat koncentrował całą swoją energię i uwagę wyłącznie na rodzime i biznesie. Dopiero teraz, kiedy rodzeństwo już się usamodzielniało, firma okrzepła i ustabilizowała swoją pozycję na amerykańskim rynku, a on

ukończył trzydziesty ósmy rok życia, zamierzał uwolnić się od niektórych obowiązków, wziąć dłuższy urlop, pozwolić sobie na odrobinę fantazji, zakosztować smaku swobody i zwyczajnego lenistwa.

Cóż z tego jednak, kiedy zdaniem zarządu firmy znowu okazał się niezastąpiony w trudnej sytuacji! Uznano, że nikt inny nie zdoła poradzić sobie z kłopotami brytyjskiej filii, tylko on, ze swoją skrupulatnością, bezkompromisowością, operatywnością, ambicją i poczuciem obowiązku. Bronił się przed tym wyjazdem do Anglii, jak tylko mógł, jednak koniec końców poczucie obowiązku nie pozwoliło mu przeciwstawić się otwarcie kolegialnej decyzji zarządu, a ambicja nakazała przyjąć postawione przed nim trudne zadanie.

Brad Stevenson, znów, więc odłożył na jakiś czas marzenia o wielkiej przygodzie, o budowie żagłówki, o poznawaniu tajemnic Orientu i o leniuchowaniu — bez klimatyzacji! — na którejś z rajszych tropikalnych plaż Oceanu Indyjskiego.

Chcąc nie chcąc, wszedł do samolotu, z którego miał wsiąść po drugiej stronie Atlantyku, w międzynarodowym porcie lotniczym Heathrow w Londynie. Leciał tym samolotem z niewielkim, jako się rzekło, entuzjazmem i z wyjątkowo ponurą miną człowieka zmuszonego do działania wbrew

sobie. W czasie lotu rozmyślał o czekającej go w Anglii pracy, która miała polegać, w pierwszym, niewdzięcznym i nużącym etapie, na przeanalizowaniu i zaopiniowaniu dotychczasowych działań brytyjskiego przedstawiciela firmy, Tima Burbridge'a, a w drugim, nieco ciekawszym i bardziej twórczym, na zaproponowaniu i wprowadzeniu pewnych usprawnień czy innowacji, dzięki którym interesy prowadzone przez firmę w Wielkiej Brytanii stałyby się bardziej rentowne.

W którymś momencie wielce zde gustowany — przy pomniął sobie również o tym, że zgodnie z telefonicznymi ustaleniami ma zamieszkać u jakiejś podstarzałej wdowy, szwagierki Burbridge'a. Sam wprawdzie domagał się po szukaniu mu spokojnego i niekrepującego lokum przy rodzinie, miał jednak nadzieję, że nic takiego się nie znajdzie i będzie to świetny pretekst do odwołania, a przynajmniej opóźnienia jego przyjazdu do Anglii. Skąd mógł przypuszczać, że Tim Burbridge ma szwagierkę wdowę, która z kolei ma duży dom z mnóstwem wolnych pokoi?

— Chyba jednak rozczaruję tę zacną starszą damę i zostanę na dłużej w hotelu albo rozejrzę się po mieście i wynajmę sobie jakąś samodzielną kawalerkę — mruknął z ci chą do siebie.

Urodziwa stewardesa, która spacerowała swoją stałą trasą pomiędzy fotelami, zatrzymała się w tym akurat momencie obok lekko się ku niemu nachyliła i zapytała z kuszącym uśmiechem:

— Czy mogłabym coś dla pana zrobić, sir?

Sądziła najwidoczniej, że przystojny, muskularny brunet, ubrany dość nietypowo, jak na pasażera pierwszej klasy, w sprane dzinsy i sportową koszulkę z krótkimi rękawami, zwraca się do niej z jakąś prośbą, a może nawet - kto wie - próbuje ją poderwać.

Brad Stevenson rozczarował jednak uśmiechniętą dziewczynę w eleganckim, twarzowym uniformie linii lotniczych, spoglądając na nią półprzytomnym wzrokiem człowieka wytrąconego z głębokiego zamyślenia i odpowiadając lakonicznie:

— Dziękuję pani, nie.

— Czy jest pan pewien? Nie dawała za wygraną.

Nie wysilił się już nawet na słowną odpowiedź, tylko skinął głową. A kiedy stewardesa oddaliła się z uroczo nadąsaną miną, usadowił się możliwie najwygodniej w fotelu, zamknął oczy i po prostu się zdrzemnął.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiedy Hannah już wyszła, Claire raz jeszcze rozejrzała się po domu, sprawdzając skrupulatnie, czy na pewno wszystko jest przygotowane na przyjęcie gościa zza oceanu. Szczerze mówiąc, nie była tego tak do końca pewna, ale zerknąwszy na zegarek, machnęła ręką, stwierdziła, bowiem, że musi już pędzić do szkoły na przedpołudniowe zajęcia i nie ma czasu na żadne poprawki.

— Ech, co tam! — powiedziała buńczucznie, chcąc do dać sobie odrobinę otuchy. — Ja zrobiłam, co mogłam, a jeśli ten wybredny dżentelmen z Ameryki będzie kaprysił, to fora ze dwom, niech sobie szuka mieszkania gdzie indziej!

Wybiegła w pośpiechu. Dzień był słoneczny i ciepły, prawdziwie wiosenny. W związku z tym już w drodze do szkoły zdecydowała, że zabierze dwójkę dzieci, które w ramach swoich służbowych obowiązków odprowadzała po lekcjach do domu, na krótki spacer do parku.

Wyszli ze szkoły nieco wcześniej niż zwykle.

Claire pchała inwalidzki wózek Paula, wybitnie inteligentnego chłopca, któremu porażenie mózgowie w bezlitosny sposób ograniczyło możliwości nie tylko poruszania się, ale nawet swobodnego mówienia, a za rączkę prowadziła Janey, miłą, ufną i zawsze uśmiechniętą dziewczynkę dotkniętą chorobą Downa.

Spacer wśród bujnej wiosennej zieleni był naprawdę udany, pech jednak chciał, że przy wyjściu z parku zatrzymała się bajecznie kolorowa furgonetka lodziarza. Otaczał ją wianuszek kupujących, głównie matek z małymi dziećmi. Janey zauważyła kiosk na kółkach i poprosiła o loda. Paul zasygnalizował uśmiechem, że również ma ochotę na chłodzący przysmak.

Claire ze swymi podopiecznymi podeszła bliżej do ruchomej lodziarni i wtedy doszło do nieprzyjemnej scysji.

Janey wyciągnęła wolną rękę w stronę któregoś z maluchów, próbując go pogłaskać po jasnych lokach. Dzieciak nawet tego nie zauważył i nie zareagował, natomiast jego młoda mama wrzasnęła natychmiast opryskliwie:

- Łapy przy sobie, mała! Rozumiesz, co się do ciebie mówi?

Dziewczynka zatrwożyła się i rozplakała. Paul ukrył głowę w ramionach.

Oburzona Claire pouczyła napastliwą kobietę:

- Proszę nie straszyć moich dzieci! Nie ma pani prawa w ten sposób się do nich odnosić! Powinna się pani wstydzić swojego zachowania!

- Sama się wstydz, paniusiu, tych swoich kaleków — odburknęła niegramatycznie kobieta. - Jak masz takie nieudane dzieciaki, to trzymaj je gdzieś na osobności i nie pętaj się z nimi na oczy normalnym ludziom!

Claire nic już na to nie odpowiedziała. Uznała, że z osobą o takich poglądach i na takim poziomie nie należy wdawać się w dyskusję, że kogoś takiego trzeba po prostu zignorować.

Kupiła dzieciom lody i szybko odeszła, pchając wózek Paula i ciągnąc za rączkę Janey.

Miała ochotę się rozplakać, z żalu i bezsilnej złości.

Powstrzymywała cisnące się jej do oczu łzy tylko najwyższym wysiłkiem woli. Zdawała sobie przecież sprawę, że nie powinna, jako nauczycielka, stresować dodatkowo od danych jej pod opiekę niepełnosprawnych dzieci, poddając się

emocjom i przyznając się do własnej bezradności wobec bezmyślnego okrucieństwa.

- Popatrzmy! — poprosił Paul, gdy przechodzili, już po wyjściu z parku, obok osiedlowego boiska, na którym grupka chłopców rozgrywała mecz piłki nożnej.

- Dobrze, kochanie, popatrzmy — zgodziła się Claire, spojrzawszy na zegarek i stwierdziwszy, że mają jeszcze trochę czasu.

Ponieważ Janey była już najwyraźniej zmęczona przechadzką, Claire skierowała się z dziećmi w stronę niedalekiej ławki, na której siedział, przyglądając się grze, jakiś mężczyzna w dżinsach i sportowej koszulce.

Może to trener jakiejś podwórkowej drużyny? A może ojciec któregoś z małych futbolistów? Nieważne! Grunt, że jest szczupły i zmieścimy się obie z Janey obok niego, chociaż ta ławka jest raczej nieduża, pomyślała Claire.

Podeszła z dziećmi do mężczyzny, smagłego, przystojnego, muskularnego bruneta, jak stwierdziła, przyjrząwszy się mu z bliska. I wtedy...

Wtedy on zerknął z ukosa najpierw na Paula w inwalidzkim wózku, potem na skośnooką Janey. I bez słowa wstał.

Claire, rozdrażniona, wyprowadzona z równowagi tym, co spotkało ją i jej dzieci przed chwilą w parku, straciła panowanie nad sobą i zachowała się w sposób zupełnie nierozsądny, wręcz niedopuszczalny.

- Dlaczegoż to pan przed nami ucieka? - rzuciła bezceremonialnie w stronę mężczyzny. - Czyżby pan też uważał, że powinniśmy się ukrywać przed normalnymi ludźmi?

Nieznajomy zmrużył oczy i zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem, o co pani chodzi — odezwał się zdziwiony, wypowiadając słowa z wyraźnie amerykańskim akcentem. — Ja tylko chciałem pani i dzieciom ustąpić miejsca na ławce i stanąć sobie tu obok, a pani zaraz mnie posądza o jakieś najgorsze draństwo.

- Przepraszam! - zreflektowała się Claire. – Naprawdę bardzo pana przepraszam! Nie powinnam była... Ale przed chwilą spotkało nas coś tak nieprzyjemnego, że ja...

— Wściekła na siebie za brak samokontroli, urwała w pół zdania i zalała się łzami. Mężczyzna przysiadł obok niej i objął ją opiekuńczo ramieniem.

— Proszę me płakać — szepnął jej łagodnie i kojąco do ucha.

— Proszę mnie natychmiast puścić! — syknęła Claire i zerwała się z ławki.

— Proszę usiąść, przecież pani nie zjem. Prawda, dzieciaki - zwrócił się do Janey i Paula, szukając u nich aprobaty dla swoich słów.

Janey uśmiechnęła się trochę nieśmiało, po raz pierwszy od chwili pożałowania godnego incydentu, do jakie go doszło w parku. Paul spojrział ufnie na nieznanomego i skinął leciutko głową.

Widząc reakcję swoich podopiecznych, Claire doszła do wniosku, że mężczyzna nie może być złym człowiekiem, ponieważ natura obdarza dzieci specjalnej troski, jakby tytułem rekompensaty za to wszystko, czego im pod innymi względami poskapiła, wspaniałą intuicją, dzięki której trafnie odczytują ludzkie intencje i bezbłędnie odróżniają osoby życzliwe od nieprzyjaznych. Dlatego usiadła z powrotem ja ławce.

— Janey i Paul chcą popatrzeć przez chwilę na piłkarzy - usprawiedliwiła się nie tyle przed nieznanym, ile przed samą sobą.

— Ja właśnie też się przyglądałem, jak grają — stwierdził mężczyzna. — U nas piłka nożna nie jest tak popularna jak tu, w Anglii.

- Pan jest Amerykaninem, prawda? - spytała Claire.

— Łatwo poznać po akcencie, czy tak – odpowiedział z uśmiechem pytaniem na pytanie. Claire skinęła głową, a nieznajomy dodał: — Przyjechałem tu do was ze Stanów na jakiś czas.

Mój Boże, czas! — skojarzyła sobie Claire i natychmiast spojrzała na zegarek. Było późno, najwyższa pora na odrowadzenie dzieci do ich domów.

— Przepraszam pana, my już musimy iść, rodzice czekają na Paula i Janey — wyjaśniła. — Życzymy miłego po bytu w Wielkiej Brytanii.

Dopiero znacznie później, już w domu, przemknęło Cłami przez myśl, że poznany podczas spaceru z dziećmi Amerykanin mógł być tym oddelegowanym na kontrolę współwłaścicielem firmy Tuna.

— Czyżby to on? — zaczęła się głośno zastanawiać. — Oj, chyba jednak nie!

Na podstawie tego, co usłyszała od Irene, wyobrażała sobie swego przyszłego lokatora raczej jako marudnego, zdziwaczałego wymoczek w garniturze, śnieżno białej koszuli i krawacie, a nie jako wysportowanego, muskularnego przystojniaka w dżinsach i sportowej koszulce.

— Dziewczyno, wyglądasz jak własna ciotka! — wykrzyknęła Hann kiedy wpadła do Claire późnym popołudniem i ujrzała ją wystrojoną w czarny kostium i białą bluzkę. — Dokąd ty się wybierasz w tym stroju wiktoriańskiej matrony?

— Na kolację do Irene i Tima. Przepraszam cię, ale właśnie wychodzę, jestem już prawie spóźniona. Mam się spotkać u szwagrostwa z moim przyszłym lokatorem.

— Wystraszysz biedaka!

— Czymże to?

— No, tym żałobnym unifonem.

Claire wzruszyła ramionami.

— Faktycznie, sprawiłam sobie ten kostium na pogrzeb Johna — wyjaśniła przyjaciółce. — Ale przecież chyba się nadaje do włożenia...

— Wyłącznie zgodnie ze swoim przeznaczeniem, kochana! — stwierdziła autorytatywnie Hannah. — Na pogrzeb, proszę

bardzo! Ale na kolację, nawet do szwagrostwa... Dziewczyno, chyba nie myślisz, że cię wypuszczę z domu w czymś takim? Otwieraj szafę!

Posłusznie wykonała polecenie energicznej i impulsywnej przyjaciółki. Hannah uważnie przyjrzała się jej kreacjom i wskazała na koktajlową, obcisłą sukienkę z dzianiny, którą Claire miała w szafie tylko, dlatego, że dostała ją w prezencie od Sally, a której sama z pewnością nie odważyłaby się kupić.

— Włóż to, Ciajre! — powiedziała nie dopuszczającym sprzeciwu tonem.

— Bez przesady, Hannah! Moja szwagierka z pewnością nie będzie zachwycona...

— Ale jej amerykański gość, twój przyszły lokator, na pewno tak! Przebieraj się, dziewczyno, nie trać czasu! Podobno jesteś już prawie spóźniona...

Zniecierpliwiona Irene dyżurowała w hallu i otworzyła drzwi, zanim jeszcze Claire zdążyła do nich zadzwonić.

— Nareszcie jesteś! — szepnęła z przejęciem. — On już od dobrych dziesięciu minut czeka, przygotowany do kolacji. Biedny Tim stara się go jakoś zabawić rozmową. Biegnijmy do salonu!

Irene ruszyła przodem, w drzwiach salonu przepuściła jednak szwagierkę przed sobą. Claire przekroczyła próg i znieruchomiała z wrażenia.

To był on! Amerykański zwierzchnik Tima Burbridge'a był tym samym przystojnym brunetem, którego spotkała nieopodal osiedlowego boiska w czasie spaceru z Paulem i Janey. Zakłopotana Claire stała jak słup soli, czując, że się idiotycznie rumieni.

Amerykanin, tym razem ubrany już nie w dżinsy i sportową koszulkę, tylko w elegancki wieczorowy garnitur, zmierzył ją wzrokiem, uniósł się z fotela i postąpił parę kroków w jej stronę.

Rozpoznał ją, była pewna! Jednak nie przyznał się do tego. Uśmiechał się tylko leciutko i tajemniczo, a w czarnych oczach płonęły mu jakieś takie figlarne ogniki.

Irene wyminęła znieruchomiałą Claire i stanąwszy po między nią a Amerykaninem, rozpoczęła oficjalną prezentację:

— Państwo pozwolą. Nasz gość z tamtej strony Atlantyku, ze Stanów Zjednoczonych, pan Brad Stevenson. Nasza kochana szwagierka, pani Claire Marshall.

— Bardzo mi miło panią poznać, pani Marshall — odezwał się Amerykanin.

— Mnie również jest bardzo miło, panie Stevenson — wykrztusiła Claire. Uścisnęli sobie dłonie.

- Proszę mówić mi Brad- zaproponował Amerykanin.

- Z przyjemnością, jeśli pan również będzie mi mówił po imieniu — odpowiedziała na propozycję Claire.

— Och, kochani, jak to miło, że zaczynacie wieczór od bruderszaftu - zaszcebiotała Irene. — Tim - zwróciła się do męża. — Przygotuj szybciotko drinki dla Brada i Claire, a ja tymczasem pobiegnę do kuchni i jeszcze rzucę okiem, czy wszystko gotowe.

— Może ci w czymś pomóc, Irene? — spytała Claire, mając nadzieję, że uda jej się chociaż na ulotnić z salonu, ochłonać i zebrać myśli.

- Ależ nie trzeba, kochanie! Jesteś naszym gościem, więc nie ma mowy, żebyś się fatygowała. Poza tym, może, Brad chciałby cię o coś zapytać w związku z mieszkaniem?

Przypominając szwagierce, że ma nie tylko zjeść z przystojnym Amerykaninem proszoną kolację, ale też przyjąć go na dłuższy czas pod swój dach jako sublokatora, Irene

zdeprymowała ją do reszty. Na szczęście Tim, zgodnie z dyspozycją żony, błyskawicznie przygotował drinki.

Odrobina alkoholu pozwoliła Claire nieco się rozluźnić i po pierwsze — ruszyć się z miejsca, w którym tkwiła jak skamieniała od momentu wejścia do salonu Burbridge’ów, po drugie — przysiąść w fotelu, po trzecie — podjąć w miarę swobodną konwersację z Biadem Stevensonem.

— Więc jesteś wdową, Claire, czy tak? - zaczął rozmowę Brad.

— Niestety, jestem. Mój mąż, John, brat Irene, zmarł dwa lata temu.

— I mieszkasz sama od tego czasu?

- Do niedawna mieszkałam z córką, ale kilka dni temu Sally wyszła za mąż

- Za mąż - zdziwił się Brad.

— Owszem — potwierdziła Claire. — Wyszła za mąż i jest właśnie w podróży poślubnej.

— Twoja córka?

— Tak. To znaczy córka Jobna, mego zmarłego męża - zaczęła z uśmiechem wyjaśniać swemu rozmówcy, zorientowawszy się wreszcie, dlaczego fakt zamążpójścia

Sally tak niesamowicie go dziwi. — Córka Johna z pierwszego małżeństwa, a moja pasierbica. Ale ja kocham ją jak własne dziecko, a ona... Cóż, jej matka zmarła tuż po porodzie, ma więc z najbliższej rodziny tylko mnie. No nie, teraz to już nie tylko - zreflektowała się Claire. — Jeszcze wspaniałego męża, Chrisa. Zostałam niedawno teściową. — Ale tylko przyszywaną! — sprostował Brad i pokiwał głową na znak, że zrozumiał skomplikowane koligacje, występujące w rodzinie Marshallów. — Wiesz, Claire, patrząc na ciebie, jakoś nie bardzo mogłem uwierzyć, że masz zamężną córkę. Twój zmarły mąż, John, musiał być sporo starszy od ciebie, prawda?

— Ależ oczywiście, mój brat był znacznie starszy od Claire — odpowiedziała za szwagierkę Irene, która właśnie w tym momencie wkroczyła do salonu i usłyszała pytanie zadane przez Brada. — Gdyby nie to, z pewnością mieliby gromadkę dzieci i Claire me musiałaby bawić się w nauczycielkę, chcąc rozwijać swoje pedagogiczne talenty.

— Więc jesteś nauczycielką, pracujesz w szkole, tak - Brad Stevenson zwrócił się bezpośrednio do Claire.

— Tak, jestem nauczycielką z wykształcenia i chyba z zamiłowania, chociaż w tej chwili pracuję tylko na pół etatu. W szkole specjalnej, dla dzieci specjalnej troski...

- Rozumiem - stwierdził Brad i ponownie pokiwał głową.

Zapadła cisza, ale tylko na chwilę, bo niemal natychmiast rozległ się głos Irene Burbridge, która uroczyście zaanonsowała:

— Moi drodzy państwo, nasza kolacja jest już gotowa.

Zapraszam do stołu!

Czterooosobowe towarzystwo przeszło do jadalni i zasiadło do posiłku. Brad Stevenson zaczął po dżentelmeńsku wychwalać umiejętności kulinarne gospodyni.

— Och, dziękuję, dziękuję, bardzo się starałam na tę dzisiejszą miłą okazję — zaszczębiotała w odpowiedzi na te, skądinąd jak najbardziej zasłużone, komplementy amerykańskiego gościa. Po czym dodała:

— Ale muszę ci po wiedzieć, Brad, że nasza kochana Claire gotuje zdecydowanie lepiej ode mnie!

Oho, nasza kochana Irene zaczyna reklamować przyszłemu lokatorowi moje usługi! — pomyślała zirytowana trochę Claire i ogłędnie upomniała rozochoconą szwagierkę:

— Irene, zlituj się! Bez przesady.

— Nie przesadzam ani trochę, moja droga! Przecież nasz kochany John, Panie świeć nad jego duszą, był niesamowicie wybredny, a zawsze zachwycał się twoją kuchnią. Zwłaszcza potrawami z jarzyn.

— Czyżbyś była wegetarianką, Claire - zainteresował się Brad.

— Nie, ale bardzo lubię warzywa. Uwielbiam je przyrządzać, a także jeść. No i uprawiać w ogrodzie!

— Mój brat nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego Claire się upiera, że osobiście musi uprawiać ogród warzywny - wtrąciła się Irene.

— Uważał, że pani domu może samodzielnie hodować najwyżej kwiaty, a do ciężkich

i brudnych prac w warzywniku powinno się kogoś wy najać.

- Naprawdę tak uważał? — zdziwił się Brad Stevenson - W takim razie musiał być wyjątkowym tradycjonalistą.

— Owszem, był — potwierdziła Irene. — Sądził, że skoro nasza matka zawsze miała dochodzącego ogrodnika do prac przy warzywach, to również jego żona nie powinna...

— Ale ja po prostu bardzo lubię pracę w ogrodzie! —
stwierdziła Claire, przerywając szwagierce.

— Tak się dziwnie składa, że, ja też -oznajmił z uśmiechem
Brad.

— Naprawdę?

— Owszem. U nas w Stanach praca w ogrodzie jest zresztą
ostatnio bardzo modna, jako znakomite lekarstwo na nerwy i
stresy, a równocześnie jako sposób na zdobycie ekologicznych
warzyw, nieskażonych różnymi chemikaliami, jak te z
wielkich farm i supermarketów.

— Ciekawe. Ja też bardzo lubię bawić się w ogrodnika —
odezwał się Tim Burbridge, z natury małomówny, a tego
wieczoru dodatkowo skrepowany obecnością swojego
amerykańskiego bossa.

- Tim jest w tym świetny - pochwaliła szwagra Claire.

—. Wiele mnie nauczył i często mi pomagał w ogrodzie,
czasem nawet w tajemnicy przed żoną.

— Właśnie, ci dwoje zawsze trochę konspirowali, jeśli chodzi
o ogrodnictwo - potwierdziła ze śmiechem Irene.

— Wymyślali sobie jakieś zabawy, a to ze szparagami, a to
znów z winoroślą.

— To może i ze mną zechcesz pobawić się czasem w ogrodzie, Claire, jak już będę u ciebie mieszkał? — odezwał się Brad Stevenson.

Claire spojrzała na niego spod zmarszczonych lekko brwi i odpowiedziała rezolutnie:

— Pewna para zabawiała się już kiedyś w ogrodzie i smutno się to dla niej skończyło.

— Masz na myśli Adama i Ewę?

- Właśnie.

— No cóż, skończyli marnie, ale bez ich ogrodowych igraszek nie byłoby pewnie na świecie rodzaju ludzkiego, między innymi, nas wszystkich tu obecnych — powiedział z uśmiechem.

— Chcesz powiedzieć, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło?

— Otóż to! — przytaknął. — Każda klęska, moim zdaniem, może być dobrym punktem wyjścia do przyszłego zwycięstwa, każda, nawet przymusowa, zmiana, ma szansę stać się zmianą na lepsze!

Tim Burbridge odchrząknął nerwowo, usłyszawszy te słowa swojego amerykańskiego bossa, Irene przywołała na pobladałą

nagle twarz sztuczny uśmiech, starając się pokryć mm
zmieszanie.

— Stosujesz tę filozofię wobec siebie, czy tylko wobec
innych? — palnęła celnie Claire, nie tracąc zimnej krwi.

— Cóż, staram się ją stosować wobec siebie i usiłuję
przekonywać do niej innych - odpowiedział pojednawczym
tonem Brad — Jest naprawdę dobra, zwłaszcza na dzisiejsze
czasy, kiedy trzeba być takim elastycznym, otwartym na
innowacje. Czy ty, Claire, myślisz czasem o tym, żeby
rozpocząć coś nowego w swoim życiu?

Pytanie było zbyt obcesowe i zaskakujące, by mogła
odpowiedzieć po prostu tak lub nie. Skorzystała więc z
typowo dyplomatycznego wybiegu i zażądała dodatkowych
wyjaśnień.

— Co nowego, na przykład?

— Na przykład nową karierę zawodową — rzucił Brad -W
biznesie albo w handlu.

— Z wykształcenia jestem nauczycielką.

— A czy to czemuś przeszkadza? Talenty pedagogiczne, takie
jak choćby umiejętność oddziaływania na innych ludzi, są
potrzebne i przydatne w wielu branżach, nie tylko w

szkolnictwie. A w dzisiejszych zmiennych czasach coś takiego, jak fach na całe życie, to po prostu przeżytek.

— Czy fach ogrodnika również?

— No chyba... — zawahał się, po czym stwierdził ze śmiechem: — Poddaję się, punkt dla ciebie! Fach ogrodnika jest wieczny i dobry ma wszystko.

Nerwowe napięcie, jakie panowało przez pewien czas przy biesiadnym stole w domu Burbridge’w, dzięki bystrości umysłu Claire szczęśliwie osłabło. Tim przestał pochrząkiwać, Irene odzyskała rumieńce.

— Skoro tak uwielbiasz ogrody, Brad — odezwała się Claire, chcąc spożytkować swoją, chwilową przynajmniej, przewagę w szermierczym pojedynku na słowa — to powiedz mi, z łaski swojej, dlaczego właściwie zajmujesz się czymś tak od nich odległym, jak klimatyzacja?

Brad Stevenson wzruszył ramionami na znak pewnego zakłopotania.

— No cóż — odezwał się. — Mój ojciec i jego dwaj bracia zajęli się klimatyzacją jeszcze w zamierzchłych czasach, na początku lat pięćdziesiątych. Założyli niewielką firmę, potem ją rozbudowali. Kiedy ojciec zginął w wypadku, ja, jako

zaledwie osiemnastolatek, świezo po ma turze, zająłem z konieczności jego miejsce w rodzinnym biznesie.

— Z konieczności?

— Tak, z konieczności. Byłem najstarszy z szóstki dzieciaków, musiałem zarobić na utrzymanie reszty rodzeństwa. Nie miałem wyboru. Pracowałem w firmie razem z dwoma moimi stryjami, opiekowałem się siostrami i braćmi. Najmłodszy, Doug, ma w tej chwili dwadzieścia pięć lat, niedawno się ożenił. Stryjowie się postarzel, podupadli na zdrowiu, jednego z nich zeszłej jesieni lekarze zmusili do rezygnacji z pracy... — Brad nagle zamilkł, zamyślił się.

Nad czym?

Claire przyszło do głowy, że być może nad tym, czy nie powinien rozpocząć czegoś nowego w swoim życiu!

Było już po jedenastej, kiedy czteroosobowe towarzystwo zgromadzone w domu Buibridge'ów zaczęło się żegnać.

— Nie zapomnij czasem, moja droga, że przywieziemy ci jutro przed południem naszego gościa, żeby obejrzał sobie twój piękny dom — przypomniała Claire szwagierka.

— I ogród — dodał szwagier

— O tak! Ogród przede wszystkim — odezwał się z uśmiechem Brad Stevenson, po czym nagle spoważniał i spojrzał na Claire swymi smoliście czarnymi oczyma tak jakoś przenikliwie, że aż poczuła dreszcz.

— Około jedenastej może być? — zapytała Irene.

- Tak, zapraszam — odpowiedziała drżącym z lekka głosem Claire.

Jadąc samochodem do domu, przez całą drogę zastanawiała się jednak, czy nie byłoby lepiej, gdyby odmówiła Bradowi gościny pod swoim dachem. Czuła, bowiem, że ten: amerykański specjalista od klimatyzacji i wielbiciel warzywnych ogrodów trochę zanadto ją niepokoi, trochę za bardzo na nią działa jako mężczyzna!

ROZDZIAŁ. TRZECI

— No i jaki on jest? Mów zaraz, bo umrę z ciekawości i będziesz mnie potem miała na sumieniu - wykrzyknęła już od progu Hannah, zjawiwszy się nazajutrz wczesnym przedpołudniem w domu Claire Marshall, teoretycznie po to, żeby pokazać jej folder z fotografiami hotelu, w jakim miała spędzić w Turcji nadchodzące letnie wakacje.

— Sama zobaczysz — odparła wymijająco wścibskiej przyjaciółce Claire, zajęta eksperymentalnym pieczeniem ciasta według nowego przepisu, który wycięła sobie z jakiegoś ilustrowanego magazynu dla pań.

— Ale kiedy, dziewczyno? — jęknęła Hannah, wchodząc do kuchni.

- Już niedługo.

— To znaczy? .

— No jeszcze dzisiaj. — Claire uchyliła ostrożnie rąbka tajemnicy.

- Dzisiaj?

— Tak. Irene ma go tu przywieźć, żeby łaskawie obejrzał sobie dom.

— I ty dla niego pieczesz to ciasto, tak?

— Chyba żartujesz! — obruszyła się Claire.

— Piekę, że by wypróbować nowy przepis. Jak ciasto okaże się dobre, to poczęstuję nim moje dzieciaki w szkole.

No, mam wrażenie — zajrzała do piekarnika - że chyba już jest gotowe, można wyjmować.

— Spróbujemy, jak wyszło?

— Czemu nie! Ale ty podobno się ostatnio odchudzasz, Hannah.

— Poświęcę się dla tych twoich dzieciaków i zrobię wyłom w mojej odchudzającej diecie; Przecież nie możesz im zanieść jakiegoś paskudztwa.

W takim razie już kroję. Skosztujmy tego eksperymentalnego wypieku.

Przyjaciółki przysiadły przy kuchennym stole i zaczęły smakować ciepłe jeszcze ciasto.

— Bardzo dobre! Po prostu pyszne! — oceniła Hannah z entuzjazmem charakterystycznym dla wszystkich usiłujących dbać o linię łasuchów.

— Niezłe — stwierdziła Claire.

— Możesz śmiało poczęstować tego Amerykanina. O której on tu będzie z Irene? — Zaspokoiwszy apetyt na coś

słodkiego, Hannah przypomniła sobie o nie do końca zaspokojonej ciekawości.

- O jedenastej.

— Boże! To już za kwadrans! — wykrzyknęła z przejęciem, spojrzawszy na zegarek.

— Zgadza się, za kwadrans — ze stoickim spokojem potwierdziła Claire.

— On tu będzie za kwadrans, a ty się nic a nic nie przejmujesz, dziewczyno? Hannah nie mogła się nadziwić obojętności przyjaciółki.

— Wystarczy, że ty się przejmujesz podwójnie, za nas obie — odpowiedziała z uśmiechem Claire.

W istocie również była przejęta, ale jako osoba z natury powściągliwa, zdecydowanie mniej impulsywna niż na przykład Hannah, panowała — przynajmniej jak dotychczas — nad własnymi emocjami i skutecznie maskowała własne zdenerwowanie żartobliwą ironią.

— Rób, co chcesz, mów, co chcesz, myśl sobie o mnie, co chcesz, ale skoro on tu zaraz ma być, to ja się stąd nie ruszam, póki go nie zobaczę — oświadczyła Hannah stanowczym, a

nawet wręcz desperackim tonem. — Nie wy gonisz mnie, dziewczyno, choćbyś pękła!

— Ja na pewno nie, ale Irene... — Claire roześmiała się głośno, nie kończąc zdania.

Hannah i Irene nie cierpiały się nawzajem, przede wszystkim chyba z tego powodu, że z usposobienia były do siebie dość podobne i konkurowały ze sobą w udzielaniu Claire światłych rad i bezcennych sugestii.

— Żeby zobaczyć tego tajemniczego Amerykanina, jestem gotowa znieść nawet taki koszmar na jawie, jak spotkanie oko w oko z twoją szwagierką — zapewniła przyjaciółkę Hannah.

W tym momencie rozległ się dzwonek do wejściowych drzwi.

Claire wybiegła z kuchni do hallu, Hannah ostrożnie wysunęła się za nią. Claire otworzyła. W drzwiach stali Irene Burbridge i Brad Stevenson.

— Wspaniale, że już jesteście, wchodźcie dalej, bardzo proszę! — powitała ich serdecznie Claire.

— Hannah, ty chyba właśnie miałaś wyjść, prawda — syknęła Irene.

— Och, z pewnością pan Stevenson — Hannah, całko wicie ją ignorując, zwróciła się bezpośrednio do Brada.

- Miło mi mruknął trochę zdawkowo Brad. - Masz sympatyczną sąsiadkę, Claire — dodał, zwracając się do gospodyni. — I przepiękny dom! Taki stylowy...

— To zabytek z początku stulecia, styl architektoniczny zwany edwardiańskim, na cześć syna i następcy królowej Wiktorii, króla Edwarda VII, który zasiadał na brytyjskim tronie do 1910 roku — pośpieszyła ze specjalistycznymi informacjami Irene. — Mój brat, John, kupił ten dom zaraz po ślubie ze swoją pierwszą żoną, Paulą. Budowla była mocno sfatygowana, właściwie zrujnowana, musieli prze prowadzić gruntowną renowację, unowocześnić to i owo. Na przykład każdą z czterech głównych sypialni wyposażyli w osobną łazienkę. Prawda, Claire?

Claire, przygnieciona lawiną słów, wypływających z ust elokwentnej szwagierki, skinęła tylko potakująco głową, po czym przeszła w głąb hallu i otworzyła podwójne drzwi, prowadzące do salonu.

— Pięknie tu, prawda? — znów odezwała się Irene.

— Przede wszystkim coś tu pięknie pachnie stwierdził z uśmiechem Brad, nim jeszcze przekroczył próg najbardziej reprezentacyjnego, umeblowanego cennymi antykami, pomieszczenia edwardiańskiej rezydencji.

Piekłam w kuchni ciasto — przyznała się nieśmiało Claire

— Jest wprost przepyszne! Ta dziewczyna naprawdę świetnie piecze i gotuje, panie Stevenson — pochwaliła przyjaciółkę Hannah.

— Proszę mówić mi po prostu Brad — zaproponował jej Amerykanin.

— Och, jakże mi miło, Brad — zaszczębiotała, wyraźnie uradowana propozycją. — Ja mam na imię Hannah...

— I właśnie wychodzę, prawda — syknęła Irene i spiorunowała ją wzrokiem.

— Tak, właśnie. Na razie, Claire, na razie, Brad! Do miłego zobaczenia — pożegnała się Hannah, nie chcąc przeciągać struny.

Irene Burbridge odetchnęła z ulgą, że udało jej się po zbyć zaprzysięgłej antagonistki. Do salonu wkroczyli już tylko w trójkę: ona, Brad Stevenson i Claire.

Amerikanin zainteresował się dużą, trochę staromodną ślubną fotografią w srebrnej ramie.

- To twój zmarły mąż, Claire? - spytał.

Claire skinęła głową.

— I jego pierwsza żona?

— Tak, to jest właśnie Paula.

Irene znów zaczęła skwapliwie udzielać gościowi wyjaśnień

— Pierwsza żona mojego świętej pamięci brata i matka Sally.

Zmarło jej się, biedaczce, w trzy dni po porodzie, Sally zna ją

tylko ze zdjęć. Jest bardzo do niej podobna, więc mój brat

usiłował w swoim czasie zrobić z niej po prostu kopię Pauli.

Ubierał ją i czesał według zdjęć matki z lat dziecięcych czyli

zupełnie nie na czasie, dzieciaki w przedszkolu i potem w

szkole wyśmiewały się z małej. Na szczęście John spotkał na

swojej życiowej drodze naszą kochaną Claire i ożenił się z nią,

a ona zajęła się dziewczynką, tak jak trzeba i stworzyła jej

normalny dom.

— Staralam się — bąknęła Claire. — Ale John wcześniej też

się starał, jak umiał — dodała łagodnym, pełnym

wyrozumiałości tonem. — Ubóstwiał Paulę, więc chciał, żeby

stała się dla córki wzorem.

— Tak czy inaczej, prawdziwą ostoją i serdeczną przyjaciółką stałaś się dla niej dopiero ty, kochanie — stwierdziła autorytatywnie Irene.

— Staralam się— powtórzyła Claire.

— Wiem, czym dla dziecka jest brak matki i taka trochę ciężka domowa atmosfera. Tak się nieszczęśliwie złożyło, że oboje rodzice osierocili mnie, kiedy byłam jeszcze małym berbeciem. Wychowywała mnie potem ciocia babcia, ciotka ojca, stara panna, emerytowana nauczycielka, kobieta zacna, ale z zupełnie innej epoki.

— Mój Boże — westchnął głośno Brad. — Nietrudno się domyślić, jakie ta zacna starsza dama musiała mieć poglądy i metody wychowawcze.

— Moja opiekunka zmarła na serce, kiedy akurat kończyłam studia - dodała gwoli wyjaśnienia Claire. - Miała swoje dziwactwa, owszem, ale po jej śmierci poczułam się nagle taka bezradna, tak niesamowicie osamotniona, że... Sama nie wiem, co bym zrobiła, gdybym w niedługim czasie nie spotkała wspaniałego człowieka i cudownie opiekuńczego mężczyzny, jakim był John.

Claire umilkła. Gadatliwa Irene Bumbridge jakimś cudem też się przez pewien czas nie odzywała

Brad Stevenson, spacerując powoli po rozległym salonie, zaczął rozmyślać o tym, że dom, w którym ma zamieszkać, jest miejscem dość specyficznym. Czymś w rodzaju osobliwego muzeum, w którym młoda, atrakcyjna i za pewne spragniona miłości kobieta tkwi — pod ścisłą kuratelą rodziny zmarłego męża — niczym w klatce, izolując się od świata, pielęgnując wspomnienia i konserwując z pietyzmem pamiątki przeszłości. Przeszłości, która w istocie wcale nie musiała być aż taka świetlana, jak Claire to widzi, a przynajmniej chciałaby zobaczyć.

Claire również rozmyślała. Zastanawiała się gorączkowo, o czym też myśli tak intensywnie Brad Stevenson.

Czyżby rozważał sprawę rezygnacji z zamieszkania w moim domu — stawiała sobie w duchu pytanie — A może planował pozostanie na dłużej w hotelu?

— Jeśli pozwolisz, Brad, przejdziemy teraz na górę — zaproponowała w końcu nieśmiało.

— Na górę? A tak, tak — ocknął się z zamyślenia
Amerykanin — Oczywiście, przejdźmy teraz na górę.
Prowadź, Claire!

Ruszyła przodem. Brad za nią. Irene Burbridge zamykała
trzyosobowy pochód. Wyszli z salonu, dotarli schodami do
hallu pierwszego piętra.

Claire otworzyła szeroko jedne z kilkorga drzwi, zwracając się
do swego gościa:

— Chciałabym ci zaproponować zainstalowanie się w tym
pokoju, Brad. Jak go oceniasz? Zerknij, rozejrzyj się, z łaski
swojej...

— Ależ, moja droga — zatrajkotała nienaturalnie piskuwym z
emocji głosem Irene, nim jeszcze Amerykanin zdążył się
przyjrzeć przewidzianemu dla niego lokum — Przecież Brad
miał zamieszkać w dawnym pokoju Sally, a nie tutaj, w
waszej małżeńskiej sypialni!

— Doszłam do wniosku, że pokój Sally jest za mały
nieodpowiednio umeblowany, zanadto po kobiecemu:
komódka, toaletka i tak dalej — spokojnie wyjaśniła
szwagierce Claire

— A tutaj jest nawet biurko Johna, przy którym Brad mógłby sobie wieczorem popracować, jeśli będzie miał ochotę.

— Claire, ja przede wszystkim chciałbym zaoszczędzić ci kłopotu — odezwał się Amerykanin. — Skoro to twoja sypialnia, to spokojnie sobie z niej korzystaj, a mnie ulokuj gdzie indziej.

— To sypialnia małżeńska, moja i Johna, mego zmarłego przed dwoma laty męża — stwierdziła dobitnie Claire — Doszłam do wniosku, że — zawahała się — Że to w tej chwili najodpowiedniejsze do wynajęcia pomieszczenie w całym domu — dokończyła przerwane zdanie z lekka histerycznym tonem. — Obszerne, z łazienką i garderobą — dodała już spokojniej. — A ja i tak miałam zamiar się przenieść gdzie indziej, więc to dla mnie żaden kłopot, Brad, jeśli, się tu rozgościsz. Tylko zerknij, proszę, jak ci się ten pokój podoba! Zachęcony przez gospodynię Brad Stevenson wszedł do środka i rozejrzał się z uwagą.

Pomieszczenie sypialne było obszerne, a ustawione w nim na centralnym miejscu okazałe małżeńskie łóżko z ciemnego drewna sprawiało wrażenie wygodnego.

W przyległej garderobie istotnie stało biurko. Przestronna łazienka była wyposażona w gigantyczną staroświecką wannę i niezależnie od tego w nowoczesną kabinę prysznicową. Okno sypialni wychodziło na bujnie zazieleniony ogród.

— No i jak — zapytała Claire, odczekawszy dość długą chwilę.

— Podoba mi się tutaj, nawet bardzo mi się podoba - stwierdził Brad.

— W takim razie pokój jest twój! Możesz się do niego wprowadzać.

— Z miłą chęcią, ale najpierw musimy ustalić kwestie finansowe - zastrzegł się. - Teraz pewnie się śpieszysz, Claire, ja zresztą trochę też, więc może spotkalibyśmy się wieczorem i spokojnie wszystko obgadali? — zaproponował.

— To może raczej jutro, Brad, bo dziś wieczorem mnie nie będzie.

— Jak to, moja droga?— zdziwiła się Irene. — A dokąd ty wieczorem wychodzisz? I z kim? — zaczęła się dopytywać, podejrzliwie i zdecydowanie zbyt obcesowo.

Claire roześmiała się wścibskiej szwagierce prosto w nos i odpowiedziała:

- Wychodzę sama, Irene. Do szkoły. Na spotkanie z rodzicami.

- Ach tak!

— Skoro dziś jesteś zajęta, Claire, to może spotkamy się jutro wieczorem — odezwał się Brad Stevenson.

— Jutro jestem wolna.

- Więc umawiamy się?

— Niech będzie.

— W takim razie, do jutra! Teraz już jedźmy, jeśli pozwolisz

— Brad zwrócił się do Irene. — Tim na pewno niecierpliwie czeka, zaplanowaliśmy sobie jeszcze na dzisiaj małą wycieczkę do magazynów.

Irene Burbridge skrzywiła się w cierpkim, wymuszonym uśmiechu, ponieważ zdawała sobie doskonale sprawę z faktu, że jej mąż oczekuje owej wspólnej z Bradem „wycieczki” z takim samym entuzjazmem, jak, nie przymie zając, sądnego dnia.

Mruknęła z rezygnacją:

— No cóż, w takim razie jedźmy.

— Do jutra, Brad! Do miłego zobaczenia, Irene! — rzuciła Claire.

— Pa, kochanie — pożegnała ją szwagierka.

— Claire, tylko przypadkiem nie zapomnij, że jesteśmy umówieni - podkreślił Brad.

Niemal natychmiast po odjeździe Brada i Irene w domu Claire Marshall zjawiała się po raz wtóry tego dnia jej sąsiadka Hannah.

— Dziewczyno, ty to masz szczęście — wykrzyknęła od progu.

- Niby dlaczego — zdziwiła się Claire.

— Jak to, dlaczego — obruszyła się Hannah. — Trzeba mieć wielkie szczęście, żeby takiego świetnego faceta złapać na lokatora!

— Wcale go nie łapałam, moja kochana! — zaprotestowała Claire. — To przecież Irene mi go przyprowadziła. I właściwie wmusiła.

— Tak czy inaczej, facet jest świetny! Spodziewałam się jakiegoś łysawego wymoczka, a tu proszę bardzo: bujna czarna czupryna, bicepsy jak u Schwarzeneggera...

— Nie przesadzaj!

— No, w każdym razie facet jest nieźle wysportowany, to musisz przyznać. I zabójczo przystojny — stwierdziła z rozmarzeniem Hannah.

— Nie podniecaj się tak, moja droga. To podobno za przysięgły stary kawaler.

— Może i stary, ale na pewno jary, dziewczyno! Moim zdaniem, jak już tu u ciebie zamieszka, to powinnaś się nim troskliwie zająć, żeby zrozumiał, że nie warto się marnować w celibacie.

-Hannah!

— Nie warto, dziewczyno, powtarzam ci. Ty też powinnaś to w końcu zrozumieć. Cześć!

Nie czekając, aż oberwie burę od przyjaciółki wyraźnie wyprowadzonej jej radami z równowagi, Hannah pośpiesznie wyszła.

Claire Marshall została w domu sama. Sama ze swymi myślami.

Myślała o, swoim dzieciństwie, o swoim małżeństwie, o swoim życiu z Johnem Marshalllem i bez niego, o swojej — już w jakiś sposób uporządkowanej, ustabilizowanej przez

ostatnie dwa lata — samotności Trochę myślała też o mężczyźnie, który miał lada dzień zamieszkać pod jej dachem i o nieuchronnych zmianach w uregulowanym trybie jej codziennej egzystencji, jakie w związku z tym faktem - nie bez obaw - przewidywała.

W którymś momencie długiej rozmowy z Timem Burbridge 'em, skoncentrowanej wokół problemu wpływu brytyjskiej aury na dystrybucję urządzeń klimatyzacyjnych, Brad Stevenson zorientował się, że nie ma przy sobie portfela z pieniędzmi i dokumentami. Słuchając nadal jednym uchem przydługich i nudnawych wywodów Tima o pogodzie, zaczął więc sobie skrupulatnie przypominać, gdzie portfel mógł mu wypaść z kieszeni sportowej koszuli, do której wsunął go rano, bezpośrednio przed wyjściem z hotelu. Doszedł do wniosku, że tytko w domu Claire Marshall, dokładnie w łazience, gdzie schylał się, sprawdzając sprawność funkcjonowania kabiny prysznicowej.

Postanowił jak najszybciej się upewnić, co do słuszności swego rozumowania.

Przeprosił Tima, przerwał meteorologiczną debatę, wsiadł do forda, który podczas pobytu w Wielkiej Brytanii miał być jego

stałym, osobistym środkiem transportu i bez telefonicznej zapowiedzi pojechał do domu Claire. Zaparkował samochód, wysiadł, podszedł do wejściowych drzwi.

Powodowany jakimś dziwnym, trudnym do wytłumaczenia impulsem nie zadzwonił, tylko lekko nacisnął klamkę. Drzwi okazały się otwarte.

Brad uchylił je najpierw lekko, a potem nieco szerzej i cicho wsunął się do wnętrza domu. Obszedłszy dookoła rozległy, trochę mroczny hall partru, zorientował się, że nieświadoma jego obecności Claire jest w salonie i flanelową ściereczką przeciera z kurzu oprawiony w srebrne ramy ślubny portret swego zmarłego męża, Johna Marshalla i jego pierwszej żony, Pauli.

— Claire, czy nigdy ci nie przeszkadzało, że, przez wszystkie lata małżeństwa pozostawałaś w cieniu tamtej kobiety?

Postawił to pytanie właściwie bez zastanowienia, czując, że po prostu musi, bez względu na konsekwencje, wypowiedzieć słowa, które same cisnęły mu się na usta. A konsekwencje były takie, że po pierwsze, mocno przestraszył Claire Marshall swoim niespodziewanym wtargnięciem, a po drugie oburzył ją do głębi swoim zuchwalstwem.

— Brad — krzyknęła zdziwiona. — Jak mogłeś! Nie włazi się tak bezczelnie, tak arogancko do czyjegoś prywatnego domu ani w czyjeś osobiste życie, wiesz?

Mój dom to moja twierdza, a moje życie, moje małżeństwo, moja przeszłość to wyłącznie moja sprawa, niczyja więcej!

— Czyżby, Claire? To dlaczego pozwalasz rodzinie zmarłego męża tak skrupulatnie kontrolować każdy swój krok — odciął się Brad.

— Rodzina męża wcale mnie nie kontroluje, tylko się o mnie troszczy i gwarantuje mi duchowe oparcie, które wcześniej zapewniał mi John.

— Nazywasz duchowym oparciem dożywotnią posadę kustosa muzeum świętej pamięci Pauli Marshall, w jakie przekształcił ten dom świętej pamięci John Marshall - nie dawał za wygraną Brad.

Claire wzruszyła ramionami i powiedziała:

— Wychodząc za Johna, doskonale zdawałam sobie sprawę, jak bardzo kochał Paulę.

— A zastanawiałaś się kiedykolwiek, jak bardzo kochał ciebie

— Dopiero wypowiedziawszy te słowa i spostrzegłszy oburzoną, ale równocześnie przerażoną i wręcz żalną minę

Claire Marshall, Brad Stevenson uzmysłowił sobie, że powiedział zbyt wiele.

— Przepraszam cię, Claire — zreflektował się. — Nie powinienem był tak nachalnie... Nie miałem prawa.

— W pełni się z tobą zgadzam - stwierdziła lodowatym tonem.

— Przepraszam, bardzo cię przepraszam! Sam nie wiem, co za diabeł mnie podkusił — sumitował się Brad — Nie miej mi tego za złe!

— Spróbuję — wykrztusiła Claire i rozplakała się.

Brad Stevenson podszedł do niej i delikatnie objął ją ramieniem, tak jak wtedy na ławce.

— Claire, nie płacz — poprosił. — Tak mi przykro, że to przeze mnie.

Wściekła na siebie za brak samokontroli wyrwała mu się z objęć, przełknęła łzy i syknęła:

— Człowieku, jeśli myślisz, że się roztkliwiam z twojego powodu, to sobie niepotrzebnie pochlebiasz!

— Nad sobą i nad własną przeszłością też się nie roztkliwiaj, Claire, przynajmniej nie ponad miarę - dodał łagodnym, pojednawczym tonem Brad. — Co było, to było, ale przecież

już przeminęło, a życie toczy się dalej i o przeszłości trzeba, po trosze zapomnieć.

— To wcale nie jest takie łatwe, Brad — odparła Claire i ucinając dyskusję, zmieniła temat. — Co cię sprowadza tak niespodziewanie? — zapytała.

— Chcesz mi powiedzieć, że rezygnujesz z pokoju? Ze znalazłeś sobie coś lepszego?

— A chciałabyś, żebym zrezygnował — pytaniem na pytanie odpowiedział Brad.

Claire wzruszyła ramionami i zauważyła obojętnym tonem:

— Ja zapytałam pierwsza.

Brad uśmiechnął się.

— Punkt dla ciebie — przyznał. — A oto moja odpowiedź: nie rezygnuję z pokoju u ciebie, nie mam najmniejszego zamiaru. Zanadto mnie intrygujesz, żebym miał dobrowolnie zrezygnować.

- Gruba przesada, Brad - roześmiała się Claire. - Cóż może być intrygującego w takiej najzwyczajniejszej pod słońcem kobiecie, jak ja? Jestem, jaka jestem, niczego przed nikim nie ukrywam, nie mam żadnych tajemnic...

— No, niech już ci będzie! Ja w każdym razie z pokoju nie rezygnuję.

— A co cię w tej chwili sprowadza?

—Portfel.

— Nie chcesz odkładać do jutra rozmowy o kosztach wynajmu, tak? Nie obawiaj się, Brad, nie zedrę z ciebie skóry!

— Ależ, Claire, źle mnie zrozumiałaś! Ja wcale nie chcę rozmawiać o kosztach! Chciałbym tylko poszukać mojego portfela, który mi wypadł z kieszeni, prawdopodobnie tutaj u ciebie, na górze, kiedy oglądałem łazienkę

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy Claire Marshall wybierała się późnym popołudniem na spotkanie z rodzicami swoich uczniów, na dworze było tak pięknie, że postanowiła nie korzystać z samo chodu, tylko przejść się spacerki Kiedy jednak po spotkaniu wyszła ze szkoły, stwierdziła ze zgrozą, że pogoda, jak się to często, niestety, zdarza wiosną, radykalnie się zmieniła.

Na dworze było mokro, padał deszcz, z każdą chwilą na domiar złego coraz gwałtowniejszy, przeradzający się w typowo wiosenną ulewę. Może powinnam zadzwonić ze szkoły po taksówkę — pomyślała Claire w pierwszej chwili. W końcu jednak machnęła ręką i zdecydowała się wracać do domu na piechotę.

— Ech, co tam, nie jestem z cukru! Jakoś dojdę — mruknęła, chcąc dodać sobie otuchy. Postawiła kołnierz w palcie, pochyliła głowę i ruszyła przed siebie.

Szła chodnikiem, starając się omijać, co pokaźniejsze kałuże. Ze względu na pogodę i porę dnia miasto było kompletnie opustoszałe. Na ulicy nie było ani ludzi, ani samochodów. Claire poczuła się trochę nieswojo.

W pewnym momencie, zerkając kątem oka za siebie, zorientowała się, że dogania ją jakiś wóz. Instynktownie przyśpieszyła kroku.

To, oczywiście, na nic się nie zdało, samochód i tak był coraz bliżej. Claire zwolniła więc, mając nadzieję, że dzięki temu auto szybciej ją minie i pojedzie sobie dalej.

Samochód tymczasem przystanął!

Trzasnęły zamykane drzwiczki, po trotuarze zatupotały dość ciężkie, najprawdopodobniej męskie kroki.

Nie oglądając się za siebie i nic sprawdzając, kto za nią idzie, znów przyśpieszyła.

Kroki z tyłu również zrobiły się szybsze, a po chwili rozległ się męski głos:

— Claire! Zaczekaj, Claire!

Czy to Brad Stevenson? Dobrze poznaję po głosie — zastanowiła się Claire i zerknęła za siebie.

— No tak, we własnej osobie — stwierdziła z ulgą — A ja, niemądra, już sobie wyobrażałam, że to jakiś polujący na samotne kobiety bandyta albo zboczeniec.

- Claire, całkiem przemokniesz! Chodź, podwiozę cię do domu samochodem - zaproponował Brad, dogoniwszy ją. Chciał ją chwycić za rękę i pociągnąć w stronę zaparkowanego na skraju chodnika wozu, ona jednak gwałtownie wyrwała dłoń z jego ręki.

— Co z tobą, Claire — zdziwił się.

— Nic, nic — zreflektowała się. — Przestraszyłeś mnie trochę.

—Ja?

— A kto inny? Wyobraziłam sobie, że ktoś mnie goni w nieuczciwych zamiarach.

— W taki deszcz? Masz przesadnie bujną wyobraźnię, Claire!

- Tak czy inaczej, przestraszyłeś mnie, Brad.

— Przepraszam.

— Proszę.

— Skoro już się nie boisz i nie masz do mnie pretensji, to wsiadajmy do wozu. Przemokniemy oboje do suchej nitki, jak jeszcze chwilę postoiemy na tym deszczu.

Wsiedli do stojącego nieopodal forda. Wnętrze wozu wydało się przemarzniętej i przemoczonej Claire wyjątkowo przytulne i ciepłe.

— Już włączam ogrzewanie — odezwał się Brad, przekręcając kluczyk w stacyjce i uruchamiając silnik.

— Ale w domu natychmiast weź gorący prysznic i zaaplikuj sobie mocnego drinka, bo inaczej przeziębienie masz gwarantowane!

— Poradzę sobie, nie jestem zresztą aż taka delikatna, żeby od paru kropli deszczu się przeziębic — mruknęła Claire. — Jak mnie znalazłeś w mieście?

— Jechałem akurat do hotelu i zauważyłem, że brniesz bez parasola w tę ulewę.

— Parasol noś i przy pogodzie.

— Właśnie!

— Zwłaszcza w deszczowej Anglii.

Roześmiali się oboje po tym sentencjonalnym stwierdzeniu Claire. Potem umilkli. Brad Stevenson skupił się na prowadzeniu samochodu w niezbyt jeszcze mu znanym, ogarniętym wiosenną nawałnicą mieście. Zmęczona pełnym różnorodnych wrażeń dniem Claire Marshall przy mknęła oczy.

— Zdaje mi się, że jesteśmy na miejscu — stwierdził po kilku minutach jazdy Braci, zatrzymując samochód.

Claire otworzyła oczy, zerknęła przez zachlapaną deszczem boczną szybę.

— Zgadza się — przytaknęła.

— Odprowadzę cię do drzwi.

— Ależ nie, dziękuję — zaprotestowała energicznie.

- Dlaczego?

— Niepotrzebnie zmokniesz i jeszcze się przeziębisz. A przecież pod gorący prysznic jeszcze dzisiaj cię nie zaproszę.

- A kiedy?

— Dopiero, jak się wprowadzisz.

— A mogę jutro?

Trochę speszona i lekko zarumieniona, spojrzała na Brada z ukosa ale odpowiedziała twierdząco:

- Proszę bardzo.

— Tak gdzieś, powiedzmy, w porze lunchu, czyli około dwunastej?

-Zgoda

— Od rano się spakuję, w południe zwolnię pokój w hotelu i przywiozę do ciebie rzeczy, później wyskoczę jeszcze do centrum na spotkanie z miejscowymi bankowcami naszej firmy, a wieczorem spokojnie sobie porozmawiamy i uzgodnimy wszystkie warunki. Dobrze, Claire?

- Lepiej nie może być, Brad. Dobranoc!

— Dobranoc, Claire! I nie zapomnij o gorącym prysznicu przed snem.

Posłusznie wzięła rozgrzewający prysznic i natychmiast położyła się spać. Usnęła spokojnie, ale w środku nocy obudziła się ze zduszonym, piskliwym, wrywającym się z trudem ze ściśniętego gardła krzykiem

— Nie!

— Usiadła gwałtownie na łóżku, zapaliła lampkę i zaczęła się gorączkowo rozglądać po pokoju, jakby się chciała upewnić, że prześladowająca ją postać z sennego koszmaru faktycznie zniknęła w chwili przebudzenia i już nie dopadnie jej na jawie. Tą postacią był nieznajomy mężczyzna. Koszmar, w którym musiała przed nim uciekać pustymi, ciemnymi ulicami, nawiedzał ją od czasu do czasu już od wielu lat.

To nic, to tylko zły sen, ten, co zawsze — wyszeptała Claire sama do siebie. I nagle uświadomiła sobie ze zdumieniem, że jej dzisiejszy sen tylko zaczął się tak samo, jak zawsze, ale skończył się zupełnie inaczej.

Zwykle przecież udawało się jej uciec. We śnie prześladowcy. A tym razem on ją dopadł! Chwycił ją od tyłu obiema rękami, zacisnął boleśnie dłonie na jej ramionach... Nigdy przedtem nie widziała jego twarzy, nie próbowała nawet na niego spojrzeć. Natomiast tym razem odwróciła głowę i rozpoznała w prześladowającym ją mężczyźnie Brada Stevenson!

— Więc to ty — odezwała się do niego, czując, dość nietypową jak na koszmarne sen, ulgę.

— Tak, to ja, Claire — wyszeptał czule. — Już od tak dawna cię gonię, już od tak dawna cię szukam

No i wreszcie mnie odnalazłeś, dogoniłeś.

- Tak, Claire! Odnalazłem cię, dogoniłem. I już za chwilę wezmę cię w ramiona i będę się z tobą kochał...

— Nie — Właśnie ten gwałtowny okrzyk protestu spowodował, że Brad Stevenson zniknął, a Claire się ocknęła.

- To nic, to przecież tylko sen - powtórzyła już na jawie.

Zanim ponownie usnęła, ku własnemu zdziwieniu po myślała jeszcze w którymś momencie, że może szkoda.

Natychmiast jednak, z niezachwianą stanowczością, od rzuciła od siebie tę bezsensowną myśl.

W porannej poczcie Claire Marshall znalazła widokówkę od Sally i Chrisa, nadesłaną z Seszeli.

Młodzi małżonkowie spędzali swój miodowy miesiąc na jednej z tych kilkudziesięciu rozrzuconych w zachódniej części Oceanu Indyjskiego tropikalnych wysp i wedle tego, co napisali na trochę kiczowatej kartce pocztowej, byli bardzo, ale to bardzo szczęśliwi.

A ja? Czy mogę powiedzieć, że jestem zadowolona ze swojego życia, że jestem szczęśliwa — zaczęła się zastanawiać Claire.

W dzieciństwie i wczesnej młodości, osierocona przez rodziców, wychowywana przez niemłodą już i ogromnie przy tym rygorystyczną ciotkę ojca, odizolowana od rówieśników, na pewno nie była szczęśliwa.

U boku męża, człowieka znacznie od siebie starszego, cichego i spokojnego, choć równocześnie obdarzonego niezwykle silną wolą i dość apodyktycznego, czuła się przede wszystkim bezpieczna i potrzebna.

Była niezmiernie wdzięczna Johnowi Marshallowi za serdeczność i troskliwość, za ojcowską poniekąd opiekę jaką otoczył po ślubie ją, osobę młodą, życiowo niedoświadczoną, całkowicie osamotnioną po śmierci opiekunki i zupełnie zagubioną w labiryncie rzeczywistości.

Starła się w związku z tym spełniać, a nawet uprzedzać, wszelkie jego życzenia, pedantycznie dbać o jego dom, starannie wychowywać jego córkę.

Wymagała od siebie tak wiele, wkładała w swoje codzienne obowiązki pani domu, żony i zastępczej matki tyle trudu i

energii, że nie starczało już jej ani czasu, ani sił na myślenie o własnych potrzebach, pragnieniach czy przyjemnościach. W istocie żyła wówczas nie tyle własnym życiem, ile życiem dwojga innych ludzi: przybranej córki i męża. Kiedy mąż zmarł, wciąż jeszcze miała Sally pod opieką, wciąż jeszcze czuła się za nią odpowiedzialna.

To w jakiś sposób złagodziło jej smutek, uchroniło ją przed popadnięciem w depresję, pozwoliło przezwyciężyć rozpacz i pogodzić się z losem.

Podjęła zgodną ze swoim wykształceniem i sprawiającą jej dużą satysfakcję pracę w szkole i osiągnęła z czasem stan wewnętrznego spokoju, który dawał jej subiektywne poczucie...

Szczęścia?

Cóż, to byłoby może zbyt wielkie słowo, zbyt górnolotne określenie, ale w każdym razie— poczucie zadowolenia. Tak, jestem zadowolona z obecnej sytuacji i nie chcę już niczego w moim życiu zmieniać, powtarzała sobie w duchu Claire. Jest mi na tyle dobrze, że nie widzę sensu ryzykowania jakichkolwiek zmian, bo one zawsze przecież mogą się okazać zmianami na gorsze. Jest mi dobrze, mam spokój....

Do licha! Raczej miałam spokój dopóki moja kochana szwagierka Irene mi go nie zakłóciła, sprowadzając tu tego Amerykanina na kwatere!

Claire przypomniła sobie swój niepokojący sen. I przypomniła sobie niemal równocześnie, że bohater tego snu, Brad Stevenson, ma się już dzisiaj wprowadzić do jej domu. Brad Stevenson, mężczyzna, który na jawie wprawiał ją każdorazowo swoją obecnością w stan jakiegoś niezwykłego, obezwładniającego i pobudzającego zarazem, napięcia, a -we śnie ośmielił się nawet zaproponować jej...

— Boże, czyżby to już miał być on — wykrzyknęła Claire w chwili, gdy z zamyślenia wyrwał ją nagle warkot podjeżdżającego pod dom samochodu.

Pobiegła do drzwi, otworzyła je na oścież i stanęła oko w oko...

Nie, jeszcze nie z Bradem Stevensonem! Tym czasem tylko ze swą szwagierką, Irene Burbridge.

— Wiesz, jechałam właśnie po zakupy do supermarketu, moja droga — zatrajkotała Irene. — Pomyślałam, że wpadnę do ciebie po drodze i zapytam, czy przypadkiem nie potrzebujesz czegoś z artykułów spożywczych.

— Dzięki za troskę, ale wszystko mam!

— Och, upewnij się jeszcze, sprawdź dokładnie, bardzo cię proszę, żeby przypadkiem później się nie okazało, że nie masz, czym nakarmić swojego lokatora. A wiesz, ci Amerykanie bywają niesamowicie wybredni.

— Ależ, Irene, przecież z faktu, że zgodziłam się wynająć Bradowi pokój, z domowym wyżywieniem, wcale nie wynika konieczność spełniania wszelkich jego kaprysów — obruszyła się Claire.

— Och, bądź tak dobra i spełnij chociaż niektóre, moja droga — z równie słodziutkim, co dwuznacznym uśmiechem zaszcebiotała Irene — Rozumiesz przecież, jak mnie i Timowi zależy na tym człowieku. Biedny Tim, prawie nie zmrużył oka dzisiejszej nocy, tak się frasował kontrolą, którą ma przeprowadzić ten Amerykanin!

Błagam cię, Claire, zwróć zawsze uwagę na to, co on ci będzie mówił na temat firmy, postaraj się wszystko dokładnie zapamiętać, tak żebyś potem mogła powtórzyć Timowi.

Ależ, Irene, nie sądzę, żeby Brad Stevenson miał zamiar rozmawiać ze mną o interesach!

— Zamiaru to może nawet nie mieć, ale gdyby mu się czasem coś wyrwało przy wspólnej kolacyjce...

Irene nie dała za wygraną, póki nie wymusiła na szwagierce obietnicy, że postara się uważnie słuchać zwierzeń swego lokatora, zwłaszcza takich, które wiązałyby się bez pośrednio lub pośrednio z problemem dystrybucji amerykańskich urządzeń klimatyzacyjnych w Wielkiej Brytanii i z osobą odpowiedzialnego za tę dystrybucję na brytyjskim rynku Tima Burbridge’a.

Ale postaram się też — Claire obiecała solennie samej sobie po odjeździe Irene — żebym tych okazji do wyciągania jakichkolwiek zwierzeń Brada Stevensona miała jak najmniej.

Z faktu, że będę tego człowieka tymczasowo gościć pod moim dachem, wcale przecież nie wynika konieczność zawierania z nim przyjaźni czy wchodzenia w jakieś niepotrzebne poufałości. Im mniej wzajemnych kontaktów, tym lepiej!

ROZDZIAŁ PIĄTY

Brad Stevenson nie zjawił się z rzeczami o dwunastej, tak jak zapowiadał, ale dopiero tuż przed pierwszą. Był mocno nachmurzony i najwyraźniej podminowany.

— Przepraszam cię bardzo za spóźnienie, Claire — zaczął się sumitować już od progu, przywołując na twarz wymuszony uśmiech. — Mieliśmy z twoim szwagrem pewien mały problem w firmie.

— Mieliście problem — Claire mimo woli zaczęła słuchać uważniej — A cóż takiego wam się przydarzyło, jeśli wolno spytać?

- Było włamanie.

- Dzisiaj?

— Właściwie wczoraj. To znaczy w nocy.

— Są duże straty?

— I tak, i nie. Z magazynu, włamywacze niczego nie wynieśli.

— Całe szczęście!

— Ale okradli biuro.

— To gorzej.

— Właśnie. Straciliśmy wyjątkowo kosztowny element wyposażenia komputerowego. Wygląda na to, że złodzieje akurat tego urządzenia szukali. I dobrze wiedzieli, że je u nas znajdą!

— Ochrona się nie zorientowała, że ktoś niepowołany jest w budynku i plądruje biuro?

— Ochrona? Jaka ochrona, Claire! Kiedyś na terenie posesji dyżurowało nocą czterech ochroniarzy, owszem, ale trzech z nich już dawno stracili swoje posady.

— Dlaczego — zdziwiła się Claire.

- Zostali zwolnieni w ramach oszczędności. Ten ostatni, który został na stanowisku, był w chwili włamania akurat w zupełnie innej części budynku. Jeden ochroniarz, nawet najsprawniejszy, nie może przecież w tym samym czasie być w kilku miejscach, to chyba jasne. Ech, do diabła z taką oszczędnością! — rozsierdził się Brad

- Chytry dwa razy traci - palnęła Claire.

— Na to wygląda mruknął Brad, spoglądając na mą z ukosa

— Dobrze, że sprzęt komputerowy marny ubezpieczony, ale i tak będą straty. Stracimy w firmie ubezpieczeniowej bonifikatę za tak zwaną bezszkodowość.

Claire pomyślała ze współczuciem o swoim szwagrze. Była niemal pewna, że irytacja amerykańskiego zwierzchnika, spowodowana niespodziewanym, dodatkowym uszczerbkiem finansowym firmy, skrupi się przede wszystkim na nieszczęsnym Timie Burbridge'u.

— Oj, pechowy jest ten nasz Tim — odezwała się, kręcąc głową.

- Za ochronę budynku Tim w zasadzie nie odpowiada - wyjaśnił Brad.

— Całe szczęście — ucieszyła się Claire.

— Jak dla kogo — stwierdził łagodniejszym nieco tonem i po raz pierwszy tego dnia się uśmiechnął — Dla twojego szwagra na pewno.

Claire jakoś mimo woli, bezwiednie, weszła w rolę gorliwej orędowniczki Tima Burbridge'a.

— Wiesz, Brad — zaczęła sugestywnie tłumaczyć Amerykaninowi — mój szwagier należy do ludzi, którzy niesamowicie, wprost do przesady, przejmują się swoimi służbowymi obowiązkami. Gdyby jakiś fatalny zbieg okoliczności sprawił, że zdarzyłoby mu się czegoś w pracy nie

dopilnować, z pewnością poczytałby to sobie za hańbę, za ujmę na honorze i chybaby się biedaczysko, wykończył ze zgryzoty.

— Aż taki jest odpowiedzialny, twoim zdaniem?

— Powiedziałabym, że ponad rozsądną normę. I do przesady lojalny. Niewielu pewnie jest na świecie facetów z takim charakterem, zwłaszcza w dzisiejszych czasach.

— Widzę, że nieźle reklamujesz tego swojego szwagra, Cłami! - nie bez odrobiny ironii stwierdził Brad Stevenson. — Lubisz go?

- O tak! Nawet bardzo!

Swoją prostodusznie entuzjastyczną, twierdzącą odpowiedzią Claire wzbudziła w Amerykaninie nieoczekiwane podejrzenia. Czyżby ona i Tim — zaczął się gorączkowo zastanawiać. — Czyżby łączyło ich coś więcej niż tylko powinowactwo? Czyżby poza pomocą w ogródku Burbridge świadczył szwagierce jeszcze jakieś inne przysługi? Ech, no i co z tego, jeśli nawet — zreflektował się w duchu. — Co mnie to w końcu obchodzi? Dlaczego miałbym się w ogóle skupiać nad tą sprawą? Przecież, u licha, chyba nie ze względu na tę rozbrajającą Irene!

— Irene ostatnio trochę się o niego martwi — odezwała się Claire, wytrącając Brada z zamyślenia — Twierdzi, że Tim się przepracowuje, że często nie ma nawet czasu na porządny lunch. A, właśnie, skoro już mówimy o lunchu —
Spostrzegłszy pochmurną, wyraźnie niezadowoloną minę Amerykanina, dyplomatycznie zmieniła temat.

— Nie uzgodniliśmy dotąd, gdzie chciałbyś jadać posiłki. Tu u mnie, czy raczej gdzieś na mieście?

- Zdecydowanie u ciebie! Nie cierpię restauracyjnego jedzenia. Uwielbiam za to dobrą domową kuchnię.

— Moja kuchnia nie jest zbyt wymyślna, muszę cię uprzedzić. John był zwolennikiem zwykłych, tradycyjnych potraw, prostych i pożywnych, takich, jakie przyrządzała jego matka.

— Ależ rozumiem, rozumiem — wtrącił ironicznym tonem.

— Rozumiesz czy nie — zirytowała się Claire — ale ja właśnie tak się przyzwyczaiłam gotować, a ponieważ przyzwyczajenie jest drugą naturą...

- Rozumiem. Będę zmuszony polubić proste i pożywne potrawy.

- Tradycyjne!

— Tak jest.

- Typowo angielskie!

— Tak jest.

— Albo jadać w restauracjach.

— Nigdy!

— Więc bez względu na wszystko jadasz u mnie, tak?

— Ma się rozumieć. Zacznę od dzisiejszej kolacji, jeśli pozwolisz.

— Niech będzie — zgodziła się Claire. — Jesteśmy umówieni. Czy już wszystkie bagaże przyniosłeś z samochodu — spytała, wskazując na dwie walizki, które ustawił na razie w hallu.

— Owszem. Jeśli pozwolisz, to zaraz wniosę ten mój skromny dobytek na górę — Brad tajemniczo zawiesił głos.

- Tak?

— Mam jeszcze w samochodzie pewien drobiazg, chciałbym najpierw po niego wrócić.

— Ależ, proszę! Nie krępuj się.

— Za moment będę z powrotem.

Wyszedł z domu i istotnie wrócił po krótkiej chwili, trzymając ostrożnie w ramionach coś, co wyglądało na pierwszy rzut oka jak kłębek kosmatej, moherowej włóczki.

— A cóż to takiego — zapytała Claire.

Zanim Brad zdążył jej odpowiedzieć, kłębek poruszył się i wydał z siebie przeciągłe miauknięcie.

— Przecież to jest kot — Claire, wyraźnie zde gustowana, wyciągnęła logiczny wniosek z tego, co przydarzyło się jej usłyszeć.

— Ściśle biorąc, kotka — sprostował Brad. — Mała kociczka, najwyżej sześciotygodniowa, z jakichś powodów porzucona przez matkę. Natknęliśmy się na nią z twoim szwagrem w kotłowni. Nie przeżyłaby bez opieki, więc ją wziąłem.

— Lubisz zwierzęta?

- Czemu nie! Zwierzę też człowiek, jeśli można tak powiedzieć.

- Ale ja nie mam zielonego pojęcia, jak się opiekować takim kocim maleństwem — Nigdy nie hodowałam żadnych zwierząt, ani u ciotki, ani tutaj, w do mu Johna. John uważał...

— A ty, jak uważasz — przerwał jej pytaniem Brad — Ten dom jest przecież teraz twoim domem, wyłącznie twoim, masz

pełne prawo decydować, czy przygarniesz tę kocią sierotkę, czy nie!

— Mogę ją potrzymać?

— Jasne! Proszę. — Podał Claire puchaty kłębuszek.

Kociątko było niesłychanie drobne, bardzo lekkie, przyjemnie jedwabistej ciepłutkie. Kiedy Claire przytuliła je do siebie, zaczęło rozkosznie, po cichutku mruczeć.

— Brad, ona mruczy!

- Jak to kot. Mruczy, bo jej u ciebie dobrze. Polubiła cię od pierwszego wejrzenia.

— Naprawdę tak sądzisz?

— Oczywiście! U kotów pomrukiwanie jest oznaką sympatii, tak jak u ludzi na przykład — Nie kończąc zdania, Brad Stevenson nachylił się i pocałował Claire leciutko prosto w usta.

— Co ty robisz — krzyknęła oburzona, ochłonawszy z pierwszego wrażenia, które było, jak musiała to sama przed sobą przyznać, po prostu piorunujące.

— Nic szczególnego. Po prostu ci demonstruję, w poglądowy sposób, co w tej chwili czuje do ciebie ten kociak.

— Niech to maleństwo już mi lepiej mówi o swoich uczuciach po swoim, mrużeniem, bez twojego pośrednictwa Brad — stwierdziła Claire — A ty lepiej mi powiedz, skoro taki z ciebie specjalista, czym się malutkie kotki karmi. Mlekiem?

— Lepiej specjalną odżywką dla kociąt.

— Z miseczki, czy może przez smoczek?

— Na razie to raczej kroplomierzem.

— Kroplomierzem — zdziwiła się Claire.

— Tak się robi potwierdził.

— A skąd ty to właściwie wiesz?

— Z doświadczenia, moja droga, z doświadczenia.

Odchowałem chyba ze trzy takie małe kociaki w moim życiu.

Nie sam, oczywiście. Razem z moimi młodszymi siostrami, głównie z Mary Beth, bo ona najbardziej lubiła opiekować się zwierzakami w dzieciństwie.

— A teraz już nie lubi?

— Teraz to ona się opiekuje dwójką dzieci, moja droga, małą córeczką i synkiem jeszcze w powijakach wyjaśnił — A także swoim przystojnym mężem — dodał — z którym ma chyba jakieś problemy natury...

Ech, nieważne - machnął ręką. - Nie będę ci tym głowy zaprzętał. No, więc siostry — wrócił do poprzedniego tematu — przynosiły mi do domu takie kocie znajdy, wychudzone do ostatka, dosłownie skóra i kości. Nikt by nie uwierzył, że którąś uratujemy. A uratowaliśmy wszystkie muszę ci się pochwalić!

— Widzę, że z ciebie prawdziwa kocia mama — zażartowała Claire.

— Raczej koci tata! Albo i mama, i tata, dwa w jednym — roześmiał się Brad.

Po chwili dodał, niespodziewanie poważniejąc:

— Dla mojego młodszego rodzeństwa też byłem przez wiele lat i ojcem, i matką równocześnie. I jeszcze dodatkowo bratem — zakończył nieco pogodniejszym tonem.

Claire pokiwała głową i westchnęła głęboko.

— Zazdroszczę ci, że się wychowałeś w dużej rodzinie — odezwała się z zadumą. — Ja nie miałam żadnego rodzeństwa, rodziców prawie nie pamiętam.

— A co się właściwie z nimi stało — zainteresował się Brad.

Zginęli w wypadku, podobnie jak twoi. Poza ciotką przez całe dzieciństwo nie miałam nikogo.

•— Nawet psa albo kota?

— Ani psa, ani kota — potwierdziła z gorzkim uśmiechem Claire

— Dlatego właśnie się boję, że nie dam sobie rady z tym kocim maleństwem, które mi przywiozłeś.

— Nie bój się, na pewno dasz sobie radę. Z kotem sprawa jest prosta, potrzebuje od człowieka zaledwie paru rzeczy: miejsca do spania, odrobiny pożywienia, odrobiny uczucia. No i jeszcze jakiejś kuwety z piaskiem albo z takim specjalnym, pochłaniającym zapachy żwirkiem ze sklepu zoologicznego, żeby mógł się od czasu do czasu załatwić. I ewentualnie kilku odwiedzin u weterynarza. A także jakiegoś sympatycznego imienia! To wszystko, Claire. Nie masz się czego bać. Fortuna sprzyja od ważnym!

Kotka, jakby rozumiejąc, że o niej mowa i że ważą się jej dalsze losy, miauknęła donośnie.

— I co ty nam chcesz powiedzieć, malutka — spytała Claire, głaszcząc ją po kosmatym łebku — Że fortuna... O właśnie! Niech będzie. Nazwijmy ją Fortuna. Co ty na to, Brad?

— Co ja na to? Ja cię na to pytam, czy na stałe zatrzymujesz tę Fortunę?

— Chyba nie mam wyjścia.

— Brawo!

Kociak znów miauknął, przeciągle i donośnie.

— O co jej chodzi, Brad — zaniepokoiła się Claire.

— Pewnie jest głodna. Masz w domu mleko?

— Mam.

— To podaj jej odrobinę zakraplaczem prosto do pyszczka.

Masz w domu zakraplacz?

— Znajdzie się.

Świetnie. Ja teraz zaniosę na górę swoje rzeczy i wrócę z konieczności do firmy, bo mamy tam jeszcze z Timem parę spraw do załatwienia, pilnych na dziś. Jak będę wieczorem wracał, to ci kupię po drodze wszystko, co jest potrzebne dla kota.

Claire uśmiechnęła się z zadumą. Uzmysłowała sobie, że John, choć był wspaniałym mężem i szlachetnym człowiekiem, nigdy by się nie zgodził kupować niczego dla kota, ani w ogóle by nie przystał na jego obecność w domu.

Nakarmiła małą Fortunę i ułożyła ją do snu w wyścielonym kilkoma warstwami flanelki pudełku po butach. Kotka zwinęła się w puchaty kłębuszek i natychmiast usnęła.

- Prawdę mówiąc, to ja zawsze bardzo chciałam mieć w domu jakiegoś zwierzaka — mruknęła sama do siebie Claire, spoglądając na kocie maleństwo — Tylko najpierw ciotka się nie zgadzała, a potem John.

Zadzwoiła do koleżanki, która hodowała w daniu kilka kotów i poprosiła o numer telefonu do dobrego weterynarza. Zaraz potem zadzwoniła do gabinetu weterynaryjnego i umówiła Fortunę na wizytę - a właściwie dwie: na pierwszą za kilka dni i na następną, kontrolną, po sześciu tygodniach.

Wpisując dość odległą datę tej drugiej wizyty do kalendarza, zwróciła uwagę na poczynioną wcześniej notatkę o dość tajemniczej treści: „ślubny bukiet”. Właśnie takim hasłem opatrzyła dzień wyznaczony na spotkanie z Poppy i Star, w trakcie którego miały się wzajemnie utwierdzać we wspólnym, uroczystym postanowieniu, że nigdy nie wyjdą za mąż.

Brad Stevenson zjawił się wczesnym wieczorem, objuczony kilkoma różnej wielkości pakunkami.

— Jak się spisuje Fortuna — zapytał.

— Na przemian je i śpi — odpowiedziała Claire.

— Przywiozłem z zoologicznego sklepu wszystko, co może być dla niej potrzebne.

— A ja już ją umówiłam na wizytę u weterynarza.

— Wspaniale, Claire! Czuję, że będziesz sobie świetnie radziła w roli kociej piastunki. I jeszcze czuję — dodał, pociągając lekko nosem — że coś tu wyjątkowo apetycznie pachnie.

— Przygotowałam zapiekankę na kolację — wyjaśniła Claire.

— Z wołowiną i jarzynami. Nie wiem, czy taką lubisz, ale...

— Jeśli smakuje tak samo cudownie, jak pachnie, to ją uwielbiam!

— Uważaj, żebyś się przypadkiem nie rozczarował — pół żartem, pół serio ostrzegła swojego- szarmanckiego stołownika Claire.

- Muszę ci powiedzieć, moja droga, że ja już od dawna się nie boję żadnych kulinarnych rozczarowań ani żadnego kulinarnego ryzyka. Jestem w tej dziedzinie przygotowany dosłownie na wszystko — stwierdził chełpliwie Brad.

—Jak to?

- Ano tak, że kiedy moje cztery młodsze siostry po kolei uczyły się gotować, służyłem każdej z nich za królika doświadczalnego. Te lekcje ciągnęły się w sumie przez ładnych parę lat. Jestem głęboko przekonany, że nic mnie już nie zaskoczy na talerzu, nawet w Anglii.

Jeszcze zobaczymy — roześmiała się Claire. — Nie mów hop, póki nie przeskoczysz albo póki nie skosztujesz. A skosztować możesz nawet zaraz, bo jest już od paru minut gotowa.

— Pozwolisz że najpierw wezmę prysznic? To nie po trwa długo, będę się śpieszył.

— Bez przesady, cierpliwie na ciebie poczekam. Od śwież się spokojnie i zejdz, z łaski swojej, do kuchni. Bo my, to znaczy ja i Sally, na co dzień zawsze jadamy... to znaczy jadałyśmy w kuchni, a nie w salonie. Wiesz, w kuchni jest znacznie przytulniej, sympatyczniej.

— Spodziewam się — mruknał Brad, przypomniawszy sobie muzealne wnętrze salonu, które miał już okazję zwiedzić.

— W takim razie czekam!

— Będę najdalej za dziesięć minut. — Popędził na górę.

Claire najpierw nabyła w kuchni do stołu, a potem wyjęła zapiekanekę z piekarnika i ponakładała na talerze po porcji gotowanych warzyw.

Brad wciąż się nie zjawiał, chociaż zdążyło już minąć me tylko dziesięć minut, ale nawet piętnaście.

— Przecież to wszystko wystygnie. I cały efekt na nic — zniecierpliwiona mruknęła sama do siebie. — Chyba wejdę na górę i trochę pogonię tego guzdra!

Jak pomyślała, tak zrobiła.

Wspięła się schodami na piętro. Zamierzała zastukać do pokoju Brada i przypomnieć mu przez drzwi o kolacji. Nie zastukała jednak, ponieważ drzwi były na oścież otwarte.

Claire jakoś tak mimo woli zajrzała przez nie do środka. Nie było go w pokoju, najwyraźniej wciąż jeszcze okupował łazienkę. Na łóżku leżała przygotowana do włożenia świeża koszula, obok łóżka, na podłodze, stały buty, przez oparcie krzesła przewieszane były spodnie.

Wywnioskowawszy logicznie, że skoro jej - lokator wciąż nie ma tego odzienia na sobie, to w każdej chwili może stanąć przed nią w kompletnym neglizżu, Claire zamierzała natychmiast się wycofać. Nim jednak zdążyła to uczynić,

nieświadom jej obecności Brad Stevenson wy skoczył w pośpiechu z łazienki -za cały strój mając kusą przepaskę z określonego wokół bioder ręcznika. Spojrzał na spąsowiałą ze wstydu Claire i nie speszony ani trochę, usprawiedliwił się:

— Troszeczkę to dłużej trwało, niż przewidywałem, bo w nowym miejscu wszystko idzie wolniej. Ale już się szybciotko ubieram i biegnę na dół!

Z obawy, że chcąc się ubrać istotnie jak najszybciej, zrzuci od razu na jej oczach swoją ręcznikową przepaskę, Claire wykonała gwałtowne „w tył zwrot” i zbiegła na dół pierwsza, rzucając tylko za siebie:

— Pośpiesz się, bo kolacja stygnie!

Nim Brad odkrzyknął:

— Minutka — ona była już w hallu na parterze. Oparła się o ścianę, z wysiłkiem chwytając oddech. Przymknęła oczy. Poczowała się trochę dziwnie. Zupełnie, jakby była na lekkim rauszu. Jakiś zawrót głowy, jakiś dreszczyk...

Miała wrażenie, że nigdy dotąd czegoś takiego me do świadczyła. Miała wrażenie, że nigdy dotąd me widziała faceta zbudowanego równie pięknie, jak Brad Stevenson. Miała wrażenie, a właściwie była pewna, że nigdy dotąd nie

jadła z tak pięknie zbudowanym facetem kolacji we dwoje, e nigdy dotąd nie przebywała z tak pięknie zbudowanym facetem sama w domu!

Jej pierwszym i jedynym mężczyzną był John Marshall, znacznie od niej starszy i mocno schorowany. Widziała w nim przede wszystkim opiekuna i przyjaciela, jego prezencja miała dla niej zupełnie marginalne znaczenie. Po śmierci męża sama nie szukała jakichkolwiek kontaktów z przedstawicielami płci przeciwnej, a wszystkim panom, którzy próbowali zabiegać o jej względy, dawała nieodmiennie taktowną, ale zdecydowaną odprawę. Żyła samotnie, bez mężczyzny i przyzwyczaiła się do tej swojej samotności. Miała wrażenie, że jest ona dla niej, jako kobiety o chłodnym temperamencie, za jaką się zawsze uważała, stanem jak najbardziej naturalnym. I pojawił się Brad Stevenson i natura splatała jej figła! Ku własnemu ogromnemu zdziwieniu i zakłopotaniu Claire poczuła, że w obecności Amerykanina zaczyna się w niej budzić... No, może nie od razu namiętna i rozpustna kochanka, ale w każdym razie stuprocentowa dorosła kobieta. Kobieta spragniona mężczyzny, kobieta spragniona pieśczoć, kobieta spragniona miłości!

— To było naprawdę pyszne! — stwierdził Brad, skończywszy jedzenie. — Obawiam się, że będę musiał się za pisać na zajęcia w jakimś tutejszym fitness klubie, jeśli zamierzasz stale tak mnie karmić.

— Boisz się o sylwetkę?

- Powiedzmy, że staram się dbać o linię. Ale jestem trochę leniwy, jeśli chodzi o regularne ćwiczenia i nie przepadam za siłowniami czy salami gimnastycznymi. Wolę ruch na świeżym powietrzu: pływanie w jeziorze, żeglowanie.. Kiedy dzieciaki były młodsze, to znaczy moje siostry i bracia prawie wszystkie letnie popołudnia w dni powszednie i większość weekendów, ma się rozumieć, spędzaliśmy na jeziorze.”

— Na jakim jeziorze — zainteresowała się Claire.

- U nas naszym mieście - wyjaśnił Brad - Mamy to szczęście, i nasze miasto leży nad jeziorem. Dlatego prawie wszyscy mieszkańcy spędzają wolny czas nad wodą, na wodzie, pod żaglami.

— Boże, jak ja wam niesamowicie zazdroszczę — westchnęła Claire — Zawsze, od najwcześniejszego dzieciństwa, uwielbiałam wodę i marzyłam o tym, żeby mieszkać nad

jeziorem i mieć własną żaglówkę, i żeglować... Niestety, moje marzenie się nie spełniło.

— Ale przecież jeszcze może się spełnić!

— Gdzież tam — zaprzeczyła i machnęła ręką na znak nieodwołalnej rezygnacji z dziecięcych marzeń. — W moim wieku?

— A ile ty masz tych lat, że taka już jesteś zrezygnowana — obruszył się Brad — Pewnie ze dwadzieścia siedem, tak?

— Ech, dobrze by było — po raz wtóry westchnęła i po kręciła przecząco głową — Nie zgadłeś. Nie mam dwudziestu siedmiu lat, jeśli chcesz wiedzieć.

-Tylko mniej?

— Nie kpij sobie ze mnie, Brad, bądź tak dobry. Grubo więcej! Jestem już od dawna po trzydziestce, skończyłam trzydzieści cztery lata.

— Wyglądasz na znacznie mniej, to po pierwsze.

— Dziękuję!

- A po drugie... hmm... - Brad Stevenson zamilkł na moment, szukając w myślach jak najtrafniejszych słów do wyrażenia tego, co chciał powiedzieć — Czy uważasz, że ludzie po

trzydziestce, tacy na przykład, jak my oboje, bo ja akurat mam trzydzieści osiem lat...

Więc czy uważasz, że ludzie tacy, jak my, nie, mają już prawa do marzeń? Czy zakładasz, że marzyć wolno tylko do pełnoletności, czy do jakiejś innej określonej granicy wieku? Bo ja osobiście myślę, że im starsi, im dojrzalsi się robimy, tym bardziej potrzebujemy jakichś marzeń!

— Jakich, na przykład?

— Nieważne! Ważne, żeby były i żeby się odnosiły, jak to marzenia, do przyszłości! Bo widzisz, Claire, ja mam wrażenie, że z wiekiem pogłębiają się u każdego człowieka jakieś takie fatalne tendencje do życia przeszłością, minionym czasem. A należy żyć do przodu! I dlatego trzeba marzyć.

— A o czym, na przykład, ty marzysz, Brad, jeśli wolno spytać?

— Ja? Hmm... Na przykład o tym, że skończę wreszcie budowę łodzi, takiego motorowo-żaglowego jachtu, który zacząłem konstruować cztery lata temu i że popłynę tą łodzią, dokąd mnie oczy poniosą, nie oglądając się na nic ani na nikogo!

- Przed kim tak chciałbyś uciec tą swoją łodzią? Przyznaj się!

Brad Stevenson roześmiał się głośno

— Chyba przed moimi dwoma współnikami, w pierwszym rzędzie — stwierdził rozbawiony.

— Przed współnikami? Tacy są straszni — zdziwiła się Claire.

- Straszni może oni nie są, ale dość apodyktyczni, to chyba najwłaściwsze słowo. Ponieważ są moi mi stryjami, braćmi mojego ojca, wciąż czują się upoważnieni traktować mnie jak smarkacza, udzielać mi świątłych rad, pouczać... Mają mnie trochę za chłopca na posyłki, najlepszym tego dowodem jest moja obecność tu w Anglii. Znalazłem się tutaj u was, chociaż planowałem sobie zupełnie co innego, jakiś dłuższy urlop...

-Na wodzie?

— Chociażby. Albo w podróży, ale w rejon świata bar dziej egzotyczny Wysp Brytyjskich.

- Na przykład?

— Na przykład do Indii.

— Nieźle — Pokręciła z podziwem głową. — A dlaczego nie byłeś w stanie przeforsować tych swoich urlopowych planów — zapytała.

— Stryjów jest dwóch, więc trzymając się razem, zawsze mogą mnie przegłosować na posiedzeniu zarządu firmy, stosunkiem dwa do jednego. Poza tym. Cóż, to już starsi panowie, to i owo im coraz częściej dokucza, lekarze każą im się oszczędzać. Nie poradziliby sobie beze mnie!

— Tak samo, jak kiedyś nie poradziłoby sobie bez ciebie twoje młodsze rodzeństwo?.

— Właśnie! Ja już mam takie w życiu szczęście, Claire, że ciągle muszę być za kogoś odpowiedzialny i nie mam kiedy pomyśleć o sobie.

— I o swoich marzeniach?

— Właśnie. Mało mam na nie czasu, diabelnie Mało! Ale się ich nie wyrzekam.

-Brawo!

- A ty, Claire, masz jakieś marzenia? Powiedz!.

- W dzieciństwie marzyłam o zamieszkaniu w domu nad jeziorem.

— To już wiem. A o czym marzysz teraz, czego dla siebie pragniesz, jakie masz plany na przyszłość?

Claire wzruszyła w zakłopotaniu ramionami.

— Ja właściwie — wykrztusiła, czując, że się gwałtownie rumieni. — Właściwie to ja chyba nie mam żadnych konkretnych planów; Chciałabym, żeby mi dano trochę więcej godzin w szkole, ale obawiam się, że nic z tego me wyjdzie. Brak funduszy, rozumiesz. Chyba więc będę mu siała się zaangażować w jakąś pracę społeczną, jako wolontariuszka, żeby robić coś pożytecznego.

— A co chciałabyś robić? Jaka praca ci najbardziej od powiada?

— Oczywiście, praca z dziećmi — stwierdziła bez wahania.

— Lubisz dzieci, prawda?

— Bardzo.

- Więc...

— Więc co?

Więc powinnaś mieć własne - chciał powiedzieć Brad, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język, dochodząc do wniosku, że tę opinię powinien, przynajmniej na obecnym etapie z Claire, zachować dla siebie. Mógł ją przecież urazić, mógł nieopatrznie wkroczyć zbyt głęboko w jej osobiste problemy.

— Więc staraj się o te godziny w szkole i o tę społeczną pracę z dziećmi — wybrnął dyplomatycznie. — Staraj się o to,

co ci jest w życiu potrzebne do szczęścia, o to, czego pragniesz. Zgoda?

Claire skinęła głową. Czując, że rumieni się coraz bardziej, czym prędzej wstała i zaczęła sprzątać nakrycia ze stołu.

- Może ci pomóc - spytał Brad.

— Dziękuję, dam sobie radę sama. Wystarczy, że nie będziesz przeszkadzał.

— W takim razie dobranoc, Claire. Wielkie dzięki za przepyszną kolację i za cudowną pogawędkę. Mieliśmy wprawdzie rozmawiać o czymś zupełnie innym, bo o warunkach, na jakich godzisz się przyjąć mnie pod swój dach...

- Dogadamy się w tej sprawie, kiedy indziej, Brad, nie m problemu!

— Ja też tak myślę. Dobrej nocy, Claire.

— Dobranoc, Brad. Postaraj się zapamiętać, co ci się będzie śniło na nowym miejscu!

— Spróbuję — Wstał od stołu i poszedł na górę.

Claire została w kuchni sama. Pozmywała naczynia i nakarmiła Fortunę przywiezioną przez Brada odżywką dla kociąt. Była niezmiernie zadowolona, że może zająć się czymś

konkretnym i prozaicznym. Nie czuła się bowiem na siłach analizować tego „czegoś”, niepokojącego i ekscytującego zarazem, co zaszło w jej życiu minionego wieczoru.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Brad Stevenson był od rana w nie najlepszym nastroju. Przejrzawszy prowadzone przez Tima Burbridge’a księgi finansowe oraz księgę zamówień, stwierdził z przykrością, że w dokumentacji panuje o wiele większy bałagan, niż się spodziewał. Najprostszym rozwiązaniem byłoby w tej sytuacji pozbycie się Tima. Brad zdawał sobie z tego doskonale sprawę, miał jednak pewne obiekcje.

Po pierwsze, zastanawiał się, czy mógłby tak bezpardonowo potraktować pracownika, który przez jakiś czas radził sobie na swoim stanowisku całkiem nieźle, a co najmniej — przyzwoicie? Po drugie zaś, nie był pewien, jak odniosłaby się do niego Claire Marshall, gdyby pozbawił pracy jej ukochanego szwagra?

Ukochanego szwagra, ukochanego szwagra, powtarzał sobie w myślach Brud, tkwiąc bez ruchu za biurkiem i błędząc oczyma po rozłożonych na blacie dokumentach. Raczej szwagra, czy raczej ukochanego, medytował z maniackim wprost uporem, a nie będąc w stanie rozstrzygnąć problemu, wściekał się sam na siebie. Do diabła, co też mi przychodzi do głowy! Ten rzekomy romans Claire i Tima to przecież od początku do końca mój wymysł, nie poparty żadnymi dowodami. A zresztą, gdyby nawet dowody się znalazły, to właściwie co z tego? Co mnie to obchodzi? Co mnie obchodzi Tim Burbóidge? Niech się o niego martwi jego Irene! I co mnie obchodzi Claire Marshall?

Claire Marshall obchodziła go jednak, nieważne, czy tego chciał, czy nie, czy się z tego cieszył, czy się tym martwił! Coś go w niej intrygowało, coś go do niej przyciągało w magnetyczny sposób. Uroda? Z całą pewnością także. Claire była przecież atrakcyjną kobietą, w jego typie: zgrabną, filigranową szatynką, z dziewczęcą buzią i ujmującym uśmiechem.

Ale chyba nie tylko.

Brad Stevenson miał wrażenie, że łączy go z Claire Marshall co więcej, że zaczyna go z nią wiązać coś znacznie więcej niż

zmysłowa fascynacja: jakaś niewidoczna nić duchowego porozumienia, wspólnota przeżyć, odczuć, opinii, oczekiwań. Czyżby ta młoda angielska wdowa miała się okazać kobietą mojego życia — zadawał sobie w duchu kłopotliwe pytanie. — Czyżby ta wymuszona przez stryjów służbowa podróż na Wyspy Brytyjskie miała się okazać tą fantastyczną przygodą, o której marzę od młodszych lat i której dotąd me udało mi się przeżyć?

Nie potrafił jednak jeszcze jednoznacznie odpowiedzieć — tak albo nie.

Zdawał sobie sprawę, że, chcąc me chcąc, wkroczył już na pewną ścieżkę ale jeszcze nie wiedział, dokąd go ta ścieżka zaprowadzi. Na jakiś życiowy szczyt? A może raczej na skraj przepaści?

Tim Burbridge czuł się od rana fatalnie. Co tam zresztą, od rana!

Prawdę mówiąc, czuł się fatalnie od chwili, gdy się dowiedział, że centrala przysłała do niego na kontrolę faceta ze ścisłego kierownictwa firmy, jednego ze współwłaścicieli.

Zdawał sobie doskonale sprawę, że w sytuacji, kiedy liczba zamówień na urządzenia klimatyzacyjne wyraźnie spadła, a

magazynowe zapasy sprowadzonego ze Stanów Zjednoczonych do Wielkiej Brytanii, lecz nie zainstalowanego dotąd nigdzie sprzętu niepotrzebnie wzrosły, wizyta amerykańskiego bossa nie będzie miała kurtuazyjnego charakteru. Obiektywny obraz jego działalności, odzwierciedlony w księgach finansowych i księdze zamówień, nie przedstawiał się najlepiej, o tym wiedział.

Subiektywnie, z jego punktu widzenia sprawy przedstawiały się jednak trochę inaczej: nie lekcewał pracy, nie oszczędzał się, starał się, jak potrafił.

Cóż jednak te jego osobiste starania mogły obchodzić amerykańskich pracodawców? Dla nich liczyły się tylko wymierne efekty finansowe funkcjonowania firmy na brytyjskim rynku. Nic poza tym nie musiało ich obchodzić: ani jego usilna, choć tak często bezowocna szarpanina, ani kapryśna angielska pogoda.

Przez jakiś czas sygnalizowali mu swoje niezadowolenie korespondencyjnie. A teraz nasłali na niego Brada Stephena, żeby pozbawił go pracy, z całą pewnością właśnie po to!

Tego dnia Brad Stevenson od rana studiował księgi, a tuż przed lunchem, nie wydając żadnych dyspozycji na popołudnie, zatrzasnął za sobą z hukiem drzwi gabinetu i z

marsową miną opuścił biuro firmy. Nie poinformował nikogo, dokąd jedzie i kiedy zamierza wrócić, zdezorientowany Tim Burbridge nie miał, więc pojęcia, co robić i gdzie szukać zwierzchnika.

Po dość długich deliberacjach doszedł do wniosku, że być może zostanie go w domu szwagierki. Pojechał, więc do niej.

Brada nie było wprawdzie u Claire, ale Tim postanowił trochę na niego poczekać, mając nadzieję, że się w końcu zjawi.

- Chociaż nie jestem pewien — podzielił się z Claire swoimi wątpliwościami — czy nie lepiej bym zrobił, gdy bym pojechał do firmy i od razu zaczął pakować manatki!

- Chcesz powiedzieć, że Brad cię zwolnił tak ni stąd, ni zowąd — zapytała zdziwiona.

— Jeszcze mnie nie zwolnił, ale mam przeczucie, że to tylko kwestia czasu - mruknął posepnie Tim.

- Widzisz, Claire — dodał gwoli wyjaśnienia — teraz w biznesie, w każdym, nie tylko w klimatyzacyjnym, działa się całkiem inaczej niż kiedyś, o wiele bardziej ekspansywnie, nawet agresywnie. Ja jestem już za stary, żeby się uczyć tych nowych metod, nowych sztuczek, więc szefostwo pewnie mnie zastąpi kimś nowym, młodszym. Będę mu siał się

rozstać z firmą Stevensonów, uważam to za rzecz prawie pewną. Nie jestem tylko pewien, czy znajdę w moim wieku jakieś inne zajęcie. Co tam, nie jestem pewien!

Bardzo w to wątpię, szczerze mówiąc.

— Nie załamuj się — Claire próbowała dodać szwagrowi otuchy. — Nie trać wiary w siebie!

— Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać — stwierdził Tim i smętnie pokiwał głową. Lepiej już sobie pójdę, Claire. Nie będę cię dłużej zameczał moimi problemami, bo pewnie masz dość własnych, jak wszyscy. Pojadę do biura. Może Brad już tam jest i na mnie czeka?

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponowała.

Było jej szczerze żal szwagra, człowieka niewątpliwie dobrego, poczciwego, ale zbyt mało energicznego i operatywnego, jak na współczesne warunki.

- Dzięki, że mnie wysłuchałaś Claire. Trochę mi teraz lżej na sercu - odezwał się Tim, stanąwszy przy swoim rozłożystym volvo.

- Trzymaj się dzielnie. Nie trać nadziei.

- Bardzo się staram.

Wypowiadając to ostatnie zdanie, biedny Tim miał łzy w oczach i minę skrzywdzonego dziecka. W odruchu współczucia Claire objęła go ramionami i mocno, serdecznie uściskała.

Podjeżdżając pod dom Claire, Brad Stevenson dostrzegł z daleka ją i jej szwagra, w czułych objęciach. Przyhamował i zczekał do końca pożegnalnej sceny i odjazdu Tima Burbridge'a, a potem wprowadził swojego fonia na dziedziniec tak raptownie, że aż przestraszył Claire.

— Boże, któż to — krzyknęła. — Tak nagle wjechałeś, że aż się złąkłam, Brad — dodała, zorientowawszy się już, kto wysiada z samochodu — Właśnie minąłeś się z Timem.

- Wiem; widziałem go - mruknął Brad.

— Czekał na ciebie.

— Czyżby?

- No tak... DOŚĆ długo nawet czekał. Mielicie w planie jakąś rozmowę

— Claire próbowała dyplomatycznie wybadać, jakie zamiary ma Braci wobec jej szwagra.

— Nie w tej chwili — odpowiedział lakonicznie.

— Podobno wyszedłeś z biura przed lunchem i nie powiedziałeś, kiedy wrócisz i czy w ogóle wrócisz — nie dawała za wygraną.

— Do licha! Czy ja muszę się komukolwiek w firmie opowiadać — wybuchnął Brad.

— No chyba nie — wykrztusiła Claire, mocno speszona — Przecież to ty jesteś szefem.

— Ano właśnie — uciął dyskusję i ruszył energicznym krokiem w stronę domu, pozostawiając Claire z tyłu.

Dogoniła go. Przejęta do głębi trudną sytuacją szwagra, postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i wyjednać Timowi u jego zwierzchnika bodaj odrobinę przychylności czy życzliwości.

- Posłuchaj mnie, Brad - odezwała się zdesperowana.

- Tak - Zatrzymał się przy drzwiach.

— Jesteś o coś zły na Tima?

— Czy ja jestem o coś zły na Tima — Brad powtórzył pytanie niemal słowo po słowie. — Cóż, można i tak to ująć — odpowiedział wymijająco.

Przepuścił Claire przodem w drzwiach. Wszedł za nią do hallu, potem do kuchni.

- Kawy - zaproponowała.

— Bardzo proszę.

Przysiedli z filiżankami przy kuchennym stole.

— Widzisz, Tim to naprawdę porządny facet, chociaż może trochę za mało energiczny — odezwała się z cicha Claire, nie całkiem pewna, czy wyświadcza szwagrowi autentyczną, czy też niedźwiedzią przysługę, podejmując z Brudem rozmowę na jego temat. — Strasznie przejmuję się pracą, zawsze się przejmował. A teraz bardzo się boi, że tę pracę straci, że ty go zwolnisz, Brad!

- Zarząd firmy dał mi w tej kwestii wolną rękę, Claire, pełną swobodę decyzji.

- Chcesz powiedzieć, żebym się nie wtrącała?

- Jeśli tak rozumiałaś moje słowa..

- Brad, ja naprawdę nie zamierzam, nawet bym przecież nie śmiała czegokolwiek ci sugerować! Ja tylko - zawahała się Claire.

— Próbujesz mnie wybadać, tak?

- Ostro powiedziane!

- Tak czy nie?

- Tak - potwierdziła.

— Claire, punkt dla ciebie za odwagę mówienia wprost - stwierdził z uznaniem Brad.

I w nagrodę kilka informacji. Działalność na brytyjskim rynku przynosi naszej firmie straty, to po pierwsze. Trzeba je najpierw zminimalizować, potem doprowadzić do zera a w końcu zacząć wypracowywać zyski, to po drugie i po trzecie - należy w związku z powyższym...

.- Pozbyć się starego Tima Burbrige 'a, tak — palnęła Claire, nie wytrzymawszy napięcia.

— Niekoniecznie — z dość tajemniczą miną odpowiedział Brad.

— A jaka jest alternatywa?

— Zmusić starego Tima Burbridge'a do zainteresowania się nowymi, efektywnymi metodami pracy - i przeszkolić go w tej dziedzinie.

- Och, Brad - odezwała się z nie ukrywanym wzruszeniem Claire - Gdybyś się zdecydował na to drugie rozwiązanie, to ja byłabym ci niesamowicie wdzięczna.

— Naprawdę?

— Nie dziw się, przecież to mój szwagier.

— Szwagier i nie tylko — mruknął ponuro Brad i spojrzał na Claire z spod oka

— Nie rozumiem!

— Czyżby? Przecież jesteście kochankami.

— Brad, co ty mówisz! Jakimi kochankami? To przecież absurd! Ja i Tim?

— Dlaczego nie! Tim był pod ręką, czułaś się samotna po śmierci męża. Chyba, że to się zaczęło wcześniej, jeszcze za życia Johna Marshalla, przy okazji wspólnej z Timem pracy w ogródku?

— No, tego to już za wiele! Przesadziłeś, Stevenson - wybuchnęła Claire, podnosząc głos. — Tim Burbridge nie jest i nigdy nie był moim kochankiem, rozumiesz — zaczęła krzyczeć. — Nikt nigdy nie był moim kochankiem! Żaden mężczyzna! Nawet mój — Urwała nagle w pół zdania, uświadomiwszy sobie, że pod wpływem emocji zagalopowała się i o mało nie wykrzyczała Bradowi czegoś, czego nie wiedział o niej nikt.

Ukryła twarz w dłoniach.

Brad w napięciu zmrużył oczy i zmarszczył brwi. Od czekał chwilę, chwycił parę głębokich oddechów, po czym odważył się zapytać:

— Czy chciałaś mi powiedzieć, Claire, że ty i twój mąż byliście tak zwanym białym małżeństwem? Że nie sypialiście - to znaczy nie współżyliście ze sobą?

— Wcale me chciałam ci tego powiedzieć — syknęła z wściekłością Claire. — Ja nikomu nigdy...

— Claire, posłuchaj mnie, proszę — odezwał się Brad łagodnym tonem profesjonalnego psychoterapeuty — Niektórych spraw, niektórych problemów, nawet tych najbardziej osobistych, me warto taić przed wszystkimi, dusić za wszelką cenę w sobie. Pewne napięcia... tłumione, długo tłumione przekształcają się z czasem w złowrogą siłę, która niszczy człowieka od środka. To trzeba w sobie pokonać, trzeba się od tego uwolnić! Ja już na samym początku, kiedy tylko wszedłem do tego domu, do tego muzealnego salonu, odniosłem wrażenie, że twoje małżeństwo z Johnem Marshallem musiało być jakieś dziwne, nietypowe.

Claire poczuła, że słowa Brada działają na nią niczym polecenia hipnotyzera. Uzmysłowiła sobie, że pod ich wpływem coś w niej pękło, że nie jest w stanie dłużej milczeć,

że musi coś powiedzieć. Nie odsłaniając zakrytej rękami twarzy, potwierdziła:

- Tak to było nietypowe małżeństwo. Rodzaj kontraktu. John pilnie potrzebował zastępczej matki dla Sally, sam nie dawał sobie rady z wychowywaniem dziesięcioletniej dziewczynki

— Przecież mógł cię zaangażować do pracy jako opiekunkę dla córki!

— Mógł, owszem. Ale wolał zaproponować mi ślub. I ja tę jego propozycję przyjąłem, akceptując wszystkie warunki.

— Zaproponował ci białe małżeństwo, bez seksu?

- Tak.

- Ale dlaczego?

— John kochał Paulę tak bardzo, że po jej śmierci już nie był w stanie, już nie chciał z nikim, z żadną inną kobietą...

— Claire, jak mogłaś wejść w taki beznadziejny układ — zdumiał się Brad. — Jak mogłaś się zgodzić?

Przerwała mu, stwierdzając:

— Widocznie mogłam, skoro się zgodziłam.

- Ale dlaczego?

Westchnęła głęboko, wyprostowała się, odsłaniając za rumienioną z emocji twarz i wyznała z jakąś desperacką szczerością:

- Taki układ mi odpowiadał, po prostu!

— Claire, czyżbyś ty była - czyżbyś wołała — wyszeptał zszokowany.

— Nie! Nic z tych rzeczy, Brad — zaprotestowała. — Jestem kobietą taką samą, jak inne, jak większość. Ale po prostu przeżyłam coś, po czym nie chcę, nie mogę...

Nagle umilkła i wybuchnęła płaczem.

Brad przysunął się do niej z krzesłem, blisko, bardzo blisko, objął ją ramieniem i zaczął uspokajać:

— No dobrze już, dobrze. Nie płacz. Albo nie! Wypłacz się najpierw, a potem opowiedz mi, proszę, co to było, co cię spotkało. Proszę cię, Claire, opowiedz mi tym, uwolnij się od tego! — Podał jej chusteczkę.

Claire kilkakrotnie przecierała oczy, nim w końcu zdołała osuszyć wszystkie łzy. A potem, dość chaotycznie, zająkując się i raz po raz przerywając wywód, by znowu skorzystać z podsuwanych jej usłudze przez Brada jednorazowych chusteczek, zaczęła mówić:

— Wychowywała mnie ciotka ojca, taka starsza dama bardzo surowa. Izolowała mnie od rówieśników. Dopiero w czasie dyplomowych praktyk pedagogicznych po raz pierwszy w życiu zamieszkałam poza domem. Razem z koleżanką i kolegą ze studiów wynajęliśmy trzypokojowe mieszkanie.

Któregoś wieczoru, kiedy koleżanka akurat dokądś wyjechała, ten chłopak, ten mój kolega zaproponował, żebyśmy się razem pouczyli. Zaofiarował się, że zrobi kolację, więc się zgodziłam. Zjedliśmy. Potem mieliśmy powtarzać materiał, do egzaminów dyplomowych. Chciałam sięgnąć po jakąś książkę leżącą na półce, a wtedy on... On podszedł do mnie od tyłu, objął ramionami, bardzo mocno. Wziął mnie, jak w kleszcze, przyciągnął do siebie... Krzyknęłam, żeby mnie puścił, a on się tylko roześmiał i zaczął mnie obcałowywać i w ogóle... Próbowałam się wyrwać, ale on mnie ciągle trzymał. W końcu zaczął szarpać na mnie ubranie i wtedy przerażenie dodało mi sił, bo zdołałam się uwolnić! Uciekłam.

Wybiegłam z domu na ulicę, padał deszcz, pośliznęłam się na mokrym trotuarze, upadłam. I wtedy... Wtedy John mnie zauważył. Jechał akurat do domu tą ulicą, zatrzymał samochód i wysiadł.

Byłam w takim stanie, że - po prostu w szoku. W pierwszej chwili pomyślałam, że to następny gwałciciel, zaczęłam histerycznie wrzeszczeć, próbowałam uciekać. Dopiero po jakimś czasie, nie wiem, po kilkunastu sekundach, czy może po kilku minutach, dotarło do mnie, że on chce mi tylko pomóc. John wziął mnie do samochodu, zawiózł do swego domu, do tego domu, zaproponował nocleg. Zgodziłam się, bo za nic w świecie nie chciałam już wracać do tam tego mieszkania. John był taki miły, taki troskliwy, taki opiekuńczy...

Więc ty się nie dziw, Brad, że kiedy od razu następnego dnia po tym fatalnym wieczorze, po tym koszmarnym zdarzeniu zaproponował mi taki właśnie układ, jak już wiesz, to się natychmiast zgodziłam. Nie powinieneś się dziwić, chociaż masz prawo oceniać moją zgodę jak chcesz, nawet jako rodzaj tchórzostwa!

Bo ja stchórzyłam wobec życia, Brad, tak to chyba trzeba powiedzieć. Po tym, co mnie spotkało ze strony tamtego mężczyzny, tego kolegi, bałam się dojrzeć, bałam się dorosnąć, stać się dorosłą kobietą. Do dziś się boję. Jestem tchórzem — zakończyła ze łzami w oczach swój dramatyczny monolog.

Delikatnie, kojąco pogładził ją po głowie.

— Wcale nie jesteś tchórzem — stwierdził z głębokim przekonaniem. — Trzeba mieć niesamowitą odwagę, żeby się zdobyć wobec kogoś - wobec zupełnie obcego człowieka na taką szczerość, na jaką ty się właśnie zdobyłaś wobec mnie.

Claire wzruszyła ramionami na znak, że nie jest do końca pewna, czy zgadza się z taką opinią na swój temat.

— Ile ty miałaś lat, kiedy wychodziłaś za Johna — spytał ją.

— Dwadzieścia dwa.

— Byłaś bardzo młoda.

- No tak - potwierdziła.

— I do tego niedoświadczona życiowo.

— Delikatnie to powiedziałaś, Brad. Byłam po prostu naiwna.

- Właśnie - i John Marshall to wykorzystał.

— Ależ nie, Brad — zaprotestowała Claire. — Źle go oceniasz! Przecież to ja sama chciałam wyjść za niego za mąż, ja sama się zgodziłam!

— Bo byłaś w szoku, Claire, byłaś zagubiona, załamana! On wykorzystał ten fatalny moment w twoim życiu i uwikłał cię na lata w układ, w którym nie mogłaś, nie byłaś w stanie,

zaspokoić swoich naturalnych potrzeb! Pozbawił cię na wiele lat czegoś, co jest bardzo istotne w życiu każdego człowieka. Pozbawił cię seksu. I w ten sposób nie pozwolił ci dojrzeć, nie pozwolił ci stać się dorosłą kobietą. Podstępem stłumił twoje potrzeby, zastosował wobec ciebie presję, Claire, brutalną presję, tyle że nie fizyczną, ale moralną, psychologiczną!

— Ależ nie, Brad — zaprotestowała energicznie po raz wtóry - John nie wywierał na mnie żadnej presji, nie musiał. Ja po prostu nie chciałam seksu w naszym małżeństwie, tak samo, jak on tyle że z innych powodów. On ze względu na pamięć Pauli...

-A ty?

— A ja dlatego, że seks po prostu nie leżał w mojej naturze. Nie był mi potrzebny, nigdy, przez te wszystkie lata. Mój temperament...

— Twój temperament jest w jak najlepszym porządku - przerwał jej Brad.

— A skąd ty to możesz wiedzieć lepiej ode mnie?

— Intuicja, Claire. Ja to czuję, po prostu czuję przez skórę. Sama zresztą zobacz...

Zanim Claire zdołała się zorientować w zamiarach Brada, on przygarnął ją mocniej do siebie i zaczął obsypywać leciutkimi pocałunkami najpierw jej włosy, a potem czoło i policzki.

Była zaskoczona, nawet zaszokowana, ale nie próbowała się wyrywać. Poczula w całym ciele jakieś dziwne, słodkie odrętwienie. Ku własnemu zdziwieniu odruchowo, instynktownie przytuliła się do Brada i ufnie poddała się jego subtelnym pieszczotom. A kiedy przywarł ustami do jej warg, zrozumiała, że miał rację, wypowiadając się tak autorytatywnie na temat jej temperamentu. Jej ciało najpierw przeniknął elektryzujący dreszcz, a potem rozkoszny ogień. Poczula, że jest gotowa na wszystko, byleby tylko zaspokoić tłumione przez lata pragnienie, które wezbrało w niej nagle z siłą tak gwałtowną i niesamowitą, że niemal bolesną.

— Brad, och, Brad — jęknęła zdławionym z emocji głosem.

— Kochaj mnie, Brad!

— Claire... Och, Claire szepnął Brad, również pod dając się coraz bardziej nastrojowi niezwyklej chwili i sile własnych zmysłów.

Trzymając Claire w objęciach, mimochodem spojrzął na kuchenny ścienny zegar. Przypomniał sobie ze zgrozą, że

dokładnie za pół godziny ma w firmie bardzo ważne spotkanie, a na dojazd potrzebuje aż dwudziestu minut.

— Muszę iść — wykrztusił, przerywając nagle pieszczoty.

- Nie, Brad - zaprotestowała, wciąż jeszcze pozostając w zupełnie nowym dla siebie stanie zmysłowego upojenia.

— Muszę. Mam spotkanie, w interesach.

Claire poczuła się nagle tak, jakby Brad wymierzył jej policzek. Poczowała się urażona, zdradzona, porzucona.

— Idź i nie wracaj—syknęła.

— Ależ, Claire! — obruszył się Brad — Przecież ja nie chciałem cię urazić. To wszystko tak jakoś wyszło trochę niezręcznie... Ja tylko chciałem...

Chciałeś mi coś udowodnić i udało ci się — wybuchnęła — Byłeś ciekaw, czy masz dobrego nosa i udało ci się, zaspokoileś ciekawość! Sprawa załatwiona. Więc teraz jedź do biura i załatwiaj następną, proszę bardzo!

— Ależ, Claire, nie bądź taka przewrażliwiona na swoim punkcie — odpowiedział delikatnie Brad — Nie zachowuj się jak rozhisteryzowana nastolatka! Zostawię cię teraz samą i pojedę do biura, bo muszę, skoro mam wyprowadzić firmę na prostą drogę i uporządkować bałagan, którego narobił twój

szwagier. Ale będę niecierpliwie czekał końca pracy i nadejścia wieczoru. I wieczorem z największą przyjemnością wrócę do ciebie, Claire, żeby dokończyć to, co z konieczności przerwaliśmy. Pamiętaj!

Złożywszy tak jednoznaczną obietnicę, Brad zerwał się z krzesła, wybiegł do zaparkowanego przed domem samochodu i odjechał.

Jego słowa wprowadziły Claire w dość dziwny stan - oburzenia pomieszanego z euforią.

Z jednej strony buntowała się wewnętrznie przeciwko lekceważącemu, nacechowanemu nawet czymś w rodzaju politowania, traktowaniu swojej osoby przez mężczyznę, który miał czelność utrzymywać, że zna jej najtajniejsze pragnienia i najgłębsze potrzeby lepiej niż ona sama.

Z drugiej strony czuła ogromną, nieprzepartą wprost ochotę zaspokojenia tych swoich — zupełnie nieoczekiwanie rozbudzonych — pragnień i potrzeb.

Miała chęć posmakować tego, czego do tej pory nie знаła i co do tej pory nie pociągało jej zupełnie. Miała chęć odnaleźć w życiu i przede wszystkim w samej sobie to „coś” nowego, co wedle niektórych opinii jest, podstawowym motorem

wszelkich ludzkich działań i dążeń. Miała chęć poddać się tajemniczej sile własnych zmysłów, miała chęć włączyć się w prowadzoną od początku świata przez przedstawicielki i przedstawicieli obojga płci damsko -męską grę, która do tej pory budziła w i tylko niechęć i zaniepokojenie — jeżeli nie odrazę i lęk — a która teraz wydała jej się nagle tak kusząca i fascynująca.

Miała chęć gruntownie się zmienić?

Nie, w istocie rzeczy raczej się dziwiła, dlaczego w jej kobiecej duszy i w jej kobiecym ciele zaszły nagle, właściwie wbrew jej woli, tak sensacyjne, radykalne zmiany.

Czyżby, dlatego, że przyszedł w moim życiu czas na jakąś hormonalną rewolucję — zadawała sobie w myślach pytanie — Czy może raczej dlatego, że po raz pierwszy zjawiał się w moim życiu ktoś, kto potrafi taką rewolucję rozpętać?

Nie zdołała się skupić nad odpowiedzią, ponieważ mała kociczka Fortuna zasygnalizowała jej donośnym pomiaukiwaniem, że chce jeść.

Claire zaczęła ją karmić, przyglądając się z przyjemnością, jak kocie niemowlę syci swój ogromny, prawdziwie wilczy głód. Pogłaskała Fortunę delikatnie po jedwabistym łebku.

Bezradne, wymagające stałej, troskliwej opieki osierocone zwierzątko budziło w niej jakąś szczególną tkliwość, jakieś szczególne, prawdziwie macierzyńskie uczucia.

Macierzyństwo, właśnie, pomyślała Claire. Ono też przecież wynika w bezpośredni sposób ze wspólnoty duchowej i cielesnej, jaka łączy mężczyznę i kobietę. Na przykład Sally i Chris pewnie już niedługo będą mieli dzieci, chociaż ona zapowiada, że na pewno nie będzie rodzić przed trzydziestką, a ma dopiero dwadzieścia dwa lata. No cóż. Nawet gdyby Sally wytrwała w swoim postanowieniu, to i tak za osiem lat już za osiem lat, będę babcią. Zostać babcią, niedługo po czterdziestce? To może być nawet miłe, ale przecież kobiety w moim wieku często po raz pierwszy w życiu zostają matkami!

Claire przez wiele lat matkowała Sally i czuła się znakomicie w tej roli.

Wychować dziecko! Widziała w tym coś pięknego, wzniosłego, frapującego.

Urodzić dziecko?

To, szczerze mówiąc, wydawało jej się zawsze czymś ryzykownym, niesamowitym, a nawet przerażającym. Od

strony biologicznej macierzyństwo budziło w niej pewien lęk. Do tej pory, zanim nie rozpętała się w jej ciele ta dziwna burza zmysłów.

Zamyślona Claire mimowolnie spojrzała w okno.

Na burzę zbierało się tego popołudnia również na zewnątrz, na dworze. Tymczasem kroił wprawdzie tylko, bębniąc rytmicznie w szyby, niewielki deszcz, ale wiatr, porywisty i coraz gwałtowniejszy z każdą chwilą, napędzał szybko nad miasto ciemne, skłębione, groźne chmury.

Claire przypomniała sobie, że w porannej radiowej prognozie pogody zapowiadano na popołudnie i wieczór ulewny deszcz i silny wiatr, osiągający w porywach prędkość huraganu.

— Na szczęście nie musimy już dzisiaj nigdzie wychodzić z domu, ani ja, ani ty, moja mała -stwierdziła z zadowoleniem, zwracając się do Fortuny.

Kociczka właśnie skończyła posiłek i sądząc po błogim wyrazie pyszczka, zupełnie nie przejmowała się nadciągającą burzą, lecz z utęsknieniem czekała tylko na to, by się ułożyć w swoim koszyku do snu

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Brad Stevenson zmarszczył brwi i zaklął półgłosem, gdy zorientował się, że z jednego z kół jego służbowego forda uszło powietrze.

Do licha, że też akurat teraz musiałem złapać gumę — mruknął sam do siebie.

Rad nierad, zjechał na pobocze i zatrzymał Wóz. Pogoda była fatalna. Ulewny deszcz zacinał z wiatrem, niebo pokrywały ciemne, burzowe chmury. Brad spojrział na zegarek. Ciężko westchnął i pokręcił ze zdziwieniem głową.

- Co za dzień - poskarżył się półgłosem samemu sobie —
Ledwie -szósta, a już prawie całkiem ciemno przez tę ulewę.
Że też akurat musiałem złapać gumę w taką paskudną pogodę!
I do tego jeszcze na tym odludziu!

Miejsce jego przymusowego postoju w istocie było wyjątkowo odludne. Brad wybrał się bowiem dość daleko za miasto, żeby obejrzeć tereny, na których — wedle planów władz - miał w przyszłości powstać nowy kompleks przemysłowy. Tymczasem nie było tam jeszcze żadnych wygod tylko kiepska dojazdowa droga, z której nikt prawie

nie korzystał. Po obydwu jej stronach, jak okiem sięgnąć, rozciągało się błotniste pustkowie

— Chyba sam diabeł mnie podkusił, żeby tu dzisiaj przyjeżdżać — jęknął.

Tak naprawdę, to znalazł się na podmiejskim odludziu, dlatego, że chciał się przyjrzeć miejscu, gdzie firma mogłaby ewentualnie zlokalizować swoją nową siedzibę: pawilon biurowy i magazyn. Pewien poważny, świetnie zorientowany we wszystkich lokalnych sprawach kontrahent - szef firmy ubezpieczeniowej wspomniał mu bowiem podczas popołudniowej konferencji, że jego klient, znany miejski przedsiębiorca budowlany, chętnie nabyłby śródmiejską posesję z obecnym budynkiem firmy.

- Ten stary budynek - tłumaczył Bradowi jego rozmówca - poszedłby do rozbiórki, na jego miejscu stanąłby nowoczesny wysokościowiec. A pan, dostałby tyle za tę działkę, że starczyłoby panu na zbudowanie pawilonu biurowego w dzielnicy przemysłowej - dobry interes, krótko mówiąc „Dobry interes był właśnie tym, czego uwikłana w finansowe kłopoty firmą najbardziej potrzebowała, więc Brad żywo posprawdzał to i owo, by się upewnić, co do wiarygodności informacji. Ponieważ, wszystko zdawało się wskazywać, ze

istotnie sprzedaż starej siedziby pod budowę śródmiejskiego wysokościowca przyniosłaby firmie zysk, pozwalający wystawić nową i jeszcze zaoszczędzić, postanowił obejrzeć miejsce, w którym ta nowa siedziba mogłaby zostać zlokalizowana.

I właśnie w tym, odludnym, pozbawionym zabudowań miejscu na obrzeżach miasta złapał gumę

— No, Stevenson, raz kozie śmierć — mruknął zdesperowany
— Trochę zmokniesz, ale nie masz wyjścia - musisz wyjść na deszcz i zmienić to sakramenckie koło!

Zdjął marynarkę, doszedłszy do wniosku, że i tak nie zabezpieczy go przed przemoknięciem, a podczas manipulacji z kołem niepotrzebnie się ubrudzi i zniszczy.

Wyskoczył z samochodu, Nim otworzył bagażnik, wydobyl z niego zapasowe koło, lewarek i komplet kluczy — był już kompletnie mokry, jakby wyszedł prosto spod prysznic.

— Stevenson, tylko, po jakie licho włąziłeś pod ten prysznic w butach i ubraniu - zakpił z siebie w przyływie wisielczego humoru.

Z dużym trudem ustawił lewarek na niezbyt równym i z powodu ulewy trochę grząskim poboczu dojazdowej drogi.

Następnie, klęcząc w błocie na deszczu, klnąc pod nosem i zamaszyście kręcąc korbą, uniósł na nim forda o kilkanaście centymetrów w górę i zabrał się za zdejmowanie koła z przebitą i zupełnie już sflaczałą oponą - I tu natknął się na przeszkodę nie do przezwyciężenia. Fabrycznie powkręcane śruby nie dały się ruszyć kluczem bez uprzedniego naoliwienia. A Brad nie znalazł, niestety, żadnego smaru wśród zgromadzonych w bagażniku technicznych akcesoriów.

— Królestwo za konia! Albo chociaż za puszkę smaru — mruknął, wzruszając ramionami.

Wściekły, zrezygnowany, zziębnięty, utyłany w błocie i całkiem przemoczony — najpierw z powrotem opuścił samochód w dół na lewarze, a potem wsiadł do niego i z komórkowego telefonu zadzwonił po pomoc drogową.

Ponieważ nie miał w baku zbyt wiele paliwa i nie mógł włączyć na przymusowym postoju silnika, by uruchomić ogrzewanie, zdążył się nabawić kataru, nim po upływie półtorej godziny pojawił się mechanik.

— Aleśmy się zaprawili na cacy na tym diabelskim deszczu, co nie? Przeziębienie masz pan murowane!

Taką oto sympatyczną przepowiednią powitał Brada
Stevensona jego spóźniony zbawca, po czym spryskał odporne
śruby oliwą w aerozolu, nie bez wysiłku je poodkręcał i
zmienił koniec końców pechowe koło;

Dochodziła dziewiąta, gdy Brad, po zapłaceniu mechanikowi
za usługę, mógł wreszcie uruchomić samochód i wydostać się
z błotnistej podmiejskiej pustkowi.

Claire Marshall siedziała w kuchni i z coraz większym
niepokojem spoglądała na ścienny zegar. Robiło się coraz
później, a Brada Stevensona wciąż nie było.

Czyżby wziął sobie do serca moje wykrzyczane w
zdenerwowaniu słowa: „Idź i nie wracaj — zachodziła w
głowę Claire.

— Nie, to chyba niemożliwe — tłumaczyła sobie w myślach.

— Przecież, gdy to usłyszał, zaśmiał mi się prosto w nos i
powiedział, że wróci na pewno. Więc może coś mu się stało?
Coś złego? Aż strach pomyśleć, ale przecież mógł mu się
przytrafić w drodze jakiś wypadek przy tej fatalnej pogodzie!

Co powinnam zrobić — zastanawiała się coraz bardziej
gorączkowo. — Zadzwoić do firmy? O tej porze chyba już

jest na to za późno. Więc może zadzwonić do Tima? Albo od razu na policję?

Już miała zamiar pędzić do telefonu, ale w ostatniej chwili zawahała się.

A jeśli Brad pojechał po prostu na kolację do jakiegoś lokalu — postawiła sobie w duchu pytanie — Albo jeśli postanowił zrezygnować z tego pokoju u mnie i zamieszkać w hotelu? Przecież jeszcze przed północą zdąży mnie zawiadomić, a gdybym zaczęła go już teraz szukać, gdybym zaczęła się o niego zupełnie, niepotrzebnie naraziłabym się na plotki, że jest dla mnie kimś więcej niż tylko lokatorem; Przecież jako lokator nie ma obowiązku uprzedzać mnie o każdym swoim późniejszym powrocie do domu, więc wszyscy by sobie dopowiedzieli, że skoro się niepokoję jego nieobecnością, to znaczy, że...

— Mamy ze sobą romans?

Te ostatnie słowa zdenerwowana Claire wypowiedziała już na głos.

— Nie — zdecydowanym zaprzeczeniem rozwiała własne wątpliwości. - Nie mamy ze sobą żadnego romansu, więc niech nikt sobie nie myśli...

Nie dokończyła zdania. Machnęła tylko ręką i sięgnęła po książkę o tradycyjnych edwardiańskich ogrodach różanych, którą pożyczyła sobie tego popołudnia od Hannah.

Postanowiła spokojnie przejrzeć barwny album i cierpliwie poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Na szczęście nie musiała już czekać zbyt długo. Tuż przed wpół do dziesiątej spostrzegła przez kuchenne okno odbłask samochodowych reflektorów. W chwilę później usłyszała dzwonek.

Gdy podeszła do drzwi, dobiegł ją zza nich jakiś dziwny odgłos, coś w rodzaju donośnego:

- Aaaapsik!

Uchyliła drzwi i o mało ich w pierwszym odruchu z powrotem nie zatrzasnęła, ujrawszy w progu jakąś dziwną, oblepioną mokrym i ubłoconym odzieniem męską postać;

— Brad, na litość boską, czy to ty — zapytała, nie dowierzając własnym oczom.

— Aaaapsik! We własnej, przemoczonej osobie — usłyszała w odpowiedzi.-

— Co ci się stało?

— Nic takiego, Claire, miałem tylko drobny problem z wozem. Najpierw próbowałem sam się zabawiać na deszczu w mechanika, w końcu musiałem dać za wygraną wezwać pomoc drogową. Aaaapsik!

— Wielki Boże, Brad, gdzież ja mam rozum, żeby tak cię w drzwiach wypytywać, kiedy ty jesteś cały mokry najpewniej przeziębiony — zreflektowała się. — Wchodź szybko do środka, weź gorący prysznic, włóż suche ubranie! A ja ci przygotuję drinka na rozgrzewkę. No i oczywiście coś do zjedzenia.

Brad, donośnie kichając i trzęsąc się na całym ciele z zimna, skierował się prosto na górę.

Claire pobiegła do kuchni. Z jednej z szuflad wydobyła stary jak świat termofor, z innej aspirynę, z oszklonej kredensowej szafki butelkę brandy. Pomyślała, że przynajmniej jeden z tych środków powinna zaaplikować Bradowi, chcąc go uchronić przed jakąś poważniejszą od hałaśliwego kataru chorobą.

— Boże, przecież ten biedak gotów mi tu dostać zapalenia płuc — jęknęła przerażona.

Doszła do wniosku, że będzie najlepiej, jeśli Brad od razu po kąpieli położy się do łóżka.

— Zaniosę mu kolację na górę — mruknęła z cicha sama do siebie.

Na pokaznej tacy ustawiła szklaneczkę z brandy, filiżankę z gorącą kawą, kilka talerzyków z wiktuałami.

Ruszyła schodami na piętro i dla uniknięcia jakiegś niespodziewanej konfuzji zawołała głośno już z daleka:

— Niosę ci kolację! Mogę wejść?

Aaaapsik! Proszę - odpowiedział jej Brad mocno schrypniętym głosem.

Claire chwyciła głęboki oddech i wkroczyła z tacą do pokoju swojego lokatora.

Brad Stevenson siedział na krześle - Claire stwierdziła z ulgą, że ma tym razem na sobie obszerny szlafrok kąpielowy, a nie kusą przepaskę z ręcznika.

— Przyniosłam ci coś na rozgrzewkę, biedaku — poinformowała swego kichającego lokatora. — Gorącą kawę...

- Aaaapsik! Wspaniale, Claire.

— I trochę brandy.

— Aaaapsik! Cudownie, Claire.

— Powinieneś, też coś zjeść.

— Aaaapsik! Spróbuję, pomiędzy kichnięciami.

— I zażyć aspirynę, bo jeszcze się rozchorujesz na dobre.

— Aaaapsik! Nie zażyję, bo mam na aspirynę uczulenie. Ale nic mi nie będzie, nie martw się!

No i nie siedź tak, bo niepotrzebnie marzniesz. Wskakuj szybko pod kołdrę!

— Aaaapsik! Niestety, nie mogę — stwierdził Brad z filuternym uśmiechem.

Dlaczego? — zdziwiła się Claire.

— Żeby się położyć, musiałbym mieć na sobie piżamę — wyjaśnił. — A żeby włożyć piżamę, musiałbym najpierw zdjąć ten szlafrok.

— Nie — krzyknęła.

Natychmiast pożałowała swego odruchowego protestu i zarumieniła się ze wstydu, że tak łatwo dała się Bradowi zdeprymować.

— To znaczy, nie musisz — usiłowała dyplomatycznie wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. — Możesz na razie położyć się w szlafroku, napić się, zjeść, a później, jak ja już sobie pójdę...

- Nie chodź - przerwał jej Brad.

Ja przecież już właśnie schodzę na dół!

— A dlaczego się tak śpieszysz?

— Bo przecież muszę — odparła spłoszona i natychmiast zamilkła najwyraźniej pogubiwszy się w wyjaśnieniach.

-Tak?

— Muszę ci przynieść termofor.

- Termofor?

— Taką gumową butlę z gorącą wodą!

— Aaaapsik! Wiem, co to jest.

- Myślałam, że tani w Ameryce już nie używacie takich staroci.

- Czemu nie, używamy, jak trzeba.

— To chcesz ten termofor?

— Może być. Aaaapsik!

Claire zeszła do kuchni. Kiedy po kilku minutach wróciła z gorącym termoforem, Brad leżał już pod kołdrą, nakryty aż po brodę. Nie kichał, ale na twarzy miał nie naturalne rumieńce.

— Czy ty przypadkiem me dostałeś gorączki — zapytała go z niepokojem. —Może wezwać lekarza?

— Nie trzeba — wymówił się Brad — Nawet jeśli mam teraz o parę kresek za wysoką temperaturę, to na pewno mi spadnie, jak się porządnie wyśpię do rana. Nie martw się, Claire, nic minie będzie. Dobranoc.

- Dobranoc, Brad - odpowiedziała i wyszła, starannie zamykając za sobą drzwi.

Zaniosła do kuchni tacę z naczyniami, pozmywała, na karmiła Fortunę i położyła ją spać do jej kociego koszyka. Wkrótce potem sama zaczęła się szykować do snu w swoim obecnym pokoju na piętrze niegdyś zajmowanym przez Sally. -

Wychodząc już z kąpieli, uzmysłowiła sobie, że nie zamknęła wejściowych drzwi. Narzuciła szlafrok, zbiegła na dół, przekręciła klucz w i wróciła na górę.

Zza drzwi pokoju Brada dobiegł ją jego głośny krzyk:

— Nie! To nieprawda! Mamo! Tato!

Nie namyślając się ani trochę, wpadła do środka. Brad spał i krzyczał przez sen, najwyraźniej dręczony jakimś koszmarem, związanym ze wspomnieniem tragicznej śmierci rodziców przed dwudziestu laty.

Claire podeszła bliżej do jego łóżka i odezwała się pół głosem:

— Brad, nie bój się, przecież to tylko sen. Brad, obudź się!
Brad!

— Claire? To ty - zdziwił się Brad, otworzywszy oczy.

— Czy coś się stało?

— Nic, nic, miałeś tylko jakiś zły sen. Już wszystko dobrze

— Claire, jak to dobrze, że jesteś — westchnął z ulgą.

— Ten koszmar tak mnie zmęczył. Usiądź na chwilę tu przy mnie, proszę cię!

Przysiadła trochę niepewnie na skraju łóżka.

Brad ujął ją delikatnie za rękę, ucałował jej dłoń, a potem niespodziewanie objął ją ramionami i przyciągnął ku sobie, szepcząc namiętnie:

— Chodź bliżej, Claire, jak najbliżej, chcę cię mieć tuż przy sobie!

Zdawała sobie doskonale sprawę, że powinna energicznie zaprotestować, wyswobodzić się z objęć swojego lokatora i opuścić jak najprędzej jego pokój. Niebyła jednak w stanie się na to zdobyć. Bliska obecność Biada wywierała na nią wpływ doprawdy magnetyczny. Bezpośredni, zmysłowy kontakt z jego rozgrzanym, po męsku muskularnym nagim ciałem oddziaływał na nią po prostu zniewalająco.

Nie zaprotestowała, więc, nie wyrwała się, nie uciekła!

Zapowiadane dokończenie tego, co wcześniej, w ciągu dnia, zatliło się, zaiskrzyło pomiędzy nimi i z konieczności zostało stłumione — istotnie nastąpiło.

Claire została z Bradem, została z nim razem w jego pokoju, w jego łóżku, żeby ulegle i ufnie poddać się jego pieścizotom, z początku subtelnym i delikatnym, a sto pniowo, wraz ze wzrostem napięcia, coraz śmielszym i gwałtowniejszym, coraz bardziej — aż do upojenia, aż do zaspokojenia obopólnych pragnień — podniecającym. Została, żeby w trzydziestym czwartym roku życia doznać po raz pierwszy czegoś, czego dotąd nie знаła, żeby do cenić wartość czegoś, czego dotąd nie doceniała. Została, żeby uwolnić się od fałszywego mniemania na swój własny temat oraz na temat intymnego obcowania kobiety i mężczyzny. Została, żeby przekonać się o

sile własnej, kobiecej zmysłowości i o żywiołowości własnego temperamentu. Została, żeby wznieść się najpierw na najwyższe szczyty ekstazy, a potem doznać cudownego ukojenia i słodko usnąć w męskich ramionach.

Kiedy zbudziła się w środku nocy, w pierwszej chwili nie była pewna, czy to, czego doświadczyła, nie było przypadkiem tylko jej złudzeniem, jej zawstydzająco nieskromnym, choć skądinąd jakże pięknym snem.

A jednak to nie był sen, jednak to wszystko wydarzyło się naprawdę — rozprawiła się w myślach z własnymi wątpliwościami, stwierdziwszy, że nie jest w łóżku sama, tylko z mężczyzną.

Czyżby z mężczyzną mojego życia — zadała sobie w duchu zasadnicze pytanie.

Nie odważyła się jednak na nie odpowiedzieć. Przecież prawie się z Bradem nie znali. Jakże, więc mogła być pewna własnych uczuć w stosunku do niego, a zwłaszcza jego uczuć w stosunku do siebie?

A jeśli dla niego to wszystko jest tylko mało znaczącym epizodem, powierzchowną erotyczną przygodą, doraźnym

remedium na osamotnienie w obcym kraju i nudę przymusowej delegacji — pomyślała z niepokojem.

Ogarnął ją nagły lęk połączony z zawstydzeniem. Zaczęła obwiniać się w myślach o niedojrzałość, nieroztropność, brak samokontroli. Poczucie winy sprawiło, że zrobiła w pośpiechu to, na co nie zdobyła się wcześniej: wysliznęła się z łóżka Brada i narzuciwszy szlafrok, wybiegła cichutko z jego pokoju.

Wróciła do siebie, by najpierw wypłakać się spazmatycznie w zimną poduszkę, a koniec końców znów usnąć, z jaką taką ulgą, ale na pewno nie bez poważnych wątpliwości.

Claire Marshall obudziła się ano z uczuciem dławiącego lęku.

Boże, co ja zrobiłam — pomyślała — Co ja najlepszego zrobiłam? Zakochałam się! Jak naiwna nastolatka!

Tylko, że nastolatki zakochują się do szaleństwa i z powrotem odkochują mniej więcej raz w tygodniu, a w moim wieku, po trzydziestce, ta młodzieńcza choroba wygląda trochę inaczej. Znacznie rzadziej się przytrafia, ale ma bez po równania ostrzejszy przebieg. Trudno się człowiekowi z niej dźwignąć pozostawia po sobie trwałe siady, już na zawsze. .

Boże! Dlaczego ja się wcale nie broniłam, dlaczego ja się tak łatwo poddałam — zaczęła sobie w duchu robić wymówki.

— Przecież Brad nic mi nie mówił o uczuciach! Nie wspominał ani słowem!

On to pewnie widzi całkiem inaczej niż ja, z rezygnacją tłumaczyła sobie w myślach. Mężczyźni zawsze to widzą inaczej. Dla Brada ta nasza wspólna noc to pewnie tylko mało znaczący epizod. A dla mnie? Boże, dla mnie to zupełna rewolucja w życiu! Nic już nigdy nie będzie, nic już nie j e s t takie, jak dawniej. Zupełnie się zmieniłam.

Ja go kocham, nagle uzmysłowiła sobie zdesperowana. Pragnę go! I tęsknię za nim, już tęsknię! A on? Boże, przecież on tam, w Ameryce, może mieć kogoś innego, inną kobietę, może mieć jakieś związki, jakieś zobowiązania.

Smętne, pesymistyczne rozmyślania Claire znów pewnie, tak jak w nocy, skończyłyby się na płaczu, gdyby nie rozległ się dzwonek do wejściowych drzwi.

W panującej w domu kompletnej ciszy zabrzmiał przenikliwie, alarmująco, niczym dzwoń na trwogę.

— Boże, kto to może być? Tak wcześnie — jęknęła Claire. — A właściwie, która to godzina — zainteresowała się.

- Co, już dziesiąta — krzyknęła, spojrzawszy na zegarek. Zerwała się z posłania na równe nogi, narzuciła szlafrok, wybiegła z pokoju. Przechodząc szybkim krokiem przez hali pierwszego piętra, zauważyła przez otwarte szeroko drzwi starannie pościelone łóżko Brada.

Ech, mężczyźni, westchnęła w duchu, z goryczą zaprawioną dozą zazdrości. Brad wstał rano jakby nigdy nic i pojechał sobie do biura! Nawet mi się na oczy nie pokazał, nawet mnie nie obudził. A ja? Ja się dręcę, czy on tam przypadkiem, w tej Ameryce...

Ponuro monologując w myślach, Claire zeszła po schodach na parter i dotarła do wejściowych drzwi.

Otworzyła je szeroko, nie sprawdzając nawet przez wizjer, któż to za nimi stoi i dobija się tak energicznie do jej domu. Listonosz? Ktoś ze szkoły? Hannah? Irene? Tim? A może Brad Stevenson?

Za drzwiami stał ktoś inny osoba zupełnie nieznaną Claire: jakaś młoda kobieta z dwójką maluchów, trzyletnią mniej więcej dziewczynką i niemowlęciem na ręku.

Dzieci popłakiwały, ich matka -była zdenerwowana, wręcz roztrzęsiona.

— Czy jest Brad — zapytała, wypowiadając słowa z typowo amerykańskim akcentem.

Swoim pytaniem — i amerykańską intonacją — młoda kobieta wprowadziła Claire w takie osłupienie, że nie uzyskała w pierwszej chwili żadnej odpowiedzi. Powtórzyła, więc zniecierpliwiona:

— Czy zastałam Brada Stephensona? Podobno tutaj u pani mieszka, zgadza się? Pani jest Claire Marshall, czy tak?

— Tak, zgadza się — wykrztusiła Claire.

- A czy Brad jest u siebie?

- Nie ma go.

— To gdzie on się, do licha, podziewa — wybuchnęła młoda kobieta.

- Dzieciaki mi tu płaczą, mały jest głodny i pewne cały zasikany po podróży!

— Pani z daleka — odważyła się zapytać Claire, czując, że z emocji serce podchodzi jej do gardła, a nogi drżą i zaczynają odmawiać posłuszeństwa.

Boże, jeśli ona mi powie, że jest z Ameryki, to chyba padnę zaraz jak długa tu, gdzie stoję — pomyślała z przeżeniem.

— Zza oceanu, prosto ze Stanów, proszę pani — wyjaśniła młoda kobieta - Wsiadłam z dziećmi do samolotu i przyleciałam, bo koniecznie muszę się zobaczyć z Bradem! Jestem jego siostrą. Mary Beth — przedstawiła się.

— Mary Beth, siostra Brada — zaczęła trochę bezsensownie powtarzać Claire.

Wciąż nie była zdecydowana, czy powinna się z radości rozplakać, czy wybuchnąć śmiechem.

- Brada nie ma — wykrztusiła. — Ale proszę wejść, proszę się rozgościć — opanowała się wreszcie i zaczęła mówić do rzeczy — Zadzwoń pani do Brada do biura, podam pani numer telefonu

— Nie trzeba— energicznie zaprotestowała Mary Beth. — To znaczy, nie będę dzwoniła, tylko zaczekam, aż Braci wróci, jeśli pani pozwoli — dodała, ściszej głos, rumieniąc się w zakłopotaniu i opuszczając głowę, jak przyłapany na jakiejś karygodnej psocie dzieciak. — Nie chcę go przed czasem niepokoić - bo on się nas właściwie, pani rozumie, nie bardzo spodziewa.

— Rozumiem, że jest pani w niemałym kłopotcie, a to już wystarczy — stwierdziła Claire — Proszę wejść i się

rozgościć. Zaraz pomyślimy o śniadaniu dla całej waszej trójki, a właściwie dla całej naszej czwórki i dla kota, bo ja, wstyd powiedzieć, dopiero, co podniosłam się z łóżka.

Pomogę pani, można?

— Claire wyciągnęła ręce w stronę płaczącego niemowlaka i wzięła go od Mary Beth. Malec natychmiast ucichł w jej ramionach.

- Jak pani dokonała tego cudu — zdziwiła się jego matka. — Awanturuje się prawie bez przerwy, odkąd wsiedliśmy do samolotu.

— Jest niegrzeczny. I już trzy razy wymiotował — dodała z poważną, zatroskaną miną dużo starszej siostry uczepiona kurczowo matczynej ręki mała dziewczynka.

- Ta mała mądrała to jest Tara. — Mary Beth przedstawiła córeczkę Claire. — A ten zasikany mazgaj, którego pani trzyma, to Abe junior.

— Bo Abe senior to jest mój tatuś, tylko że go teraz z nami nie ma, bo on...

— Nie zawracaj pani głowy, Tara — uciszyła gadatliwą dziewczuszkę Mary Beth - Pani i tak ma z nami dość kłopotu.

- Jaki tam kłopot! I jaka tam pani! Mów mi Claire, bardzo cię proszę.

— Och, chętnie, Claire, z przyjemnością.

Nim minęło pół godziny, znużone podróżą dzieciaki były już w ekspresowym tempie nakarmione, umyte i ułożone do snu w pokoju Claire.

Claire i Mary Beth odpoczywały na dole przy kawie.

— Może jednak zadzwonimy do Brada, do firmy — ponowiła Claire swoją wcześniejszą propozycję — Znam numer telefonu, mój szwagier tam pracuje.

— Nie, nie! Nie trzeba — znów zaproponowała Mary Beth.

— Nie chcę przeszkadzać Bradowi w pracy. Porozmawiamy, jak wróci. Bo widzisz, Claire, ja właściwie nie mam do niego żadnej sprawy, ja tylko muszę z nim porozmawiać, muszę koniecznie, dlatego przyleciałam i przywlokłam ze sobą dzieciaki. Tylko z nim mogę porozmawiać, tylko jemu mogę się poskarżyć na swój los, teraz, kiedy dosłownie z dnia na dzień wszystko mi się w życiu zawaliło!

Rozżalona Mary Beth wybuchnęła płaczem. Claire wiedziała doskonale z własnego doświadczenia, że w trudnych

życiowych sytuacjach łzy często przynoszą zbawienną ulgę, nie starała się więc nawet jej uspokajać.

Szlochając, Mary Beth ciągnęła dalej swój monolog, smutny i pod wpływem emocji trochę nieskładny:

— Pewnie się już domyślasz, Claire, co mi się przytrafiło. Mój mąż, Abe, mnie zdradził! Nawiązał romans, z koleżanką z pracy. Próbuje się wypierać, ale ja przecież nie jestem taka głupia, a zresztą mam dowody. Moja bliska przyjaciółka ich nakryła, widziała ich razem w kawiarni! Claire, pomyśl, on mi bezczelnie wmawia, że musi zostawać w pracy po godzinach, a tymczasem włóczy się, po kawiarniach z jakąś tam! I jeszcze się zapiera!

— Posłuchaj, moja droga — wtrąciła się Claire, korzystając z okazji, że Mary Beth sięgnęła po filiżankę i przelitykając odrobinę kawy, powstrzymała się na chwilę od mówienia. — Masz za sobą wielogodzinny lot, jesteś zmęczona. Może byś się tymczasem trochę zdrzemnęła na górze, co ty na to?

— A ja mu nat o, że nie jestem taka głupia — Rozmówczyni Claire najwyraźniej nie była w stanie oderwać myśli od pierwszoplanowego dla niej problemu domniemanego mężowskiego wiarołomstwa. — I że mam dowody, bo moja przyjaciółka ich widziała! Moja najlepsza przyjaciółka! A on

mi mówi, że tamtą dziewczynę spotkał zupełnie przypadkowo, a do kawiarni wpadł tylko na chwilę. I że ja się niepotrzebnie denerwuję, bo on mnie przecież kocha. Może i mnie kiedyś kochał, ale co z tego! Teraz ma inną, włości się z nią po kawiarniach. I jeszcze bezczelnie mi wmawia, że ma dodatkową pracę popołudniami.

Boże, Claire, ja się chyba powtarzam, już ci to przecież wszystko mówiłam! Już sama nie wiem, co się ze mną dzieje, zdawało mi się, że chyba oszaleję, jak nie pogadam z Bradem. No więc wzięłam dzieciaki i wsiadłam w pierwszy samolot, mój mąż nawet nie wie, gdzie jestem. Boże, Claire, ja chyba muszę, chociaż na chwilę się położyć, bo aż mi się ciemno w oczach robi, jak tak siedzę...

Claire zaprowadziła wyczerpaną długotrwałym stresem i wielogodzinnym lotem Mary Beth na górę. Odczekała, aż uśnie i dopiero wtedy zadzwoniła do Brada.

Telefon odebrał Tim i poinformował ją, że Brada Stevenson nie ma w tej chwili w biurze, ale powinien nie długo przyjechać.

Claire przekazała szwagrowi, żeby poprosił go o telefon do niej, skoro tylko się zjawi. Nic więcej nie mogła tymczasem zrobić.

— Biedna ta Mary Beth - westchnęła, odłożywszy słuchawkę. Niemal natychmiast zadała sobie jednak w myślach pytanie, czy na pewno Mary Beth jest tą osobą, której należy najbardziej współczuć, a nie na przykład Brad?

Ktoś, od kogo cała liczna i rozgałęziona rodzina Stevensonów tak wiele oczekuje i wymaga. Ktoś, kto od lat zawsze musi mieć czas na intensywną pracę w rodzinnej firmie i ustawiczne zajmowanie się najrozmaitszymi rodzinnymi sprawami. Ktoś, kto w związku z tym zupełnie nie ma czasu dla siebie i kto bez końca zmuszony jest odkładać na nieokreśloną bliżej przyszłość realizację własnych, osobistych zamierzeń i marzeń.

Biedny Brad — zawyrokowała w myślach Claire, kiedy uzmysłowiła sobie to wszystko. — Najpierw stryjowie do prowadzili do tego, że w imię interesów firmy, ale w za sadzie wbrew własnym chęciom, opuścił Amerykę i przyjechał do Anglii, a teraz siostra nie pozwala mu nawet w tej Anglii spokojnie popracować, tylko zwała mu się na głowę z dwójką małych dzieciaków i małżeńskimi problemami. Trochę chyba tego wszystkiego za wiele!

Z zamyślenia wyrwała Claire jakiś odgłos dochodzący z góry. Zaczęła nasłuchiwać, podejrzewając, że to mały Abe znów się

rozplakał, ale nie usłyszała nic poza warkotem podjeżdżającego pod dom samochodu.

Wyrzała przez okno i stwierdziła ze zdziwieniem, że Brad parkuje swego służbowego forda. Zamiast w biurze, gdzie go oczekiwano, zjawił się u niej.

Claire poczuła się trochę niewyraźnie, mając go ujrzeć po raz pierwszy w świetle dnia po wspólnie spędzonej upojnej nocy. Nie była pewna, czego, jako kobieta, powinna się po nim, jako mężczyźnie, w tej sytuacji spodziewać.

Podziękowań?

Przeprosin?

Jakichś deklaracji czy wyznań? -

Wybiegła speszona do hallu, pełna nieokreślonych oczekiwań otworzyła Bradowi drzwi. Wszedł energicznym krokiem do środka i po prostu wziął ją w ramiona!

— Claire — szepnął czule. — Witaj, Claire! Jak to cudownie znów cię widzieć!

Miała nieprzepartą chęć ukryć się przed całym światem w jego objęciach, pamiętając jednak, że nie są w domu sami zaczęła się nerwowo wyrywać.

Zdezorientowany Brad przytrzymał ją za ramiona i spoglądając jej prosto w oczy, zapytał z niepokojem:

— Claire, co z tobą? Czy coś się stało?

— Nie, nic — zaprzeczyła pośpiesznie — wiesz. ..

Nim zdążyła cokolwiek wyjaśnić, u szczytu schodów ukazała się Mary Beth.

— Och, Brad! Dzięki Bogu, że już jesteś krzyknęła histerycznym trochę tonem i ruszyła po schodach w dół.

— Mary Beth, czy to ty — Osłupiały Brad najwyraźniej nie mógł uwierzyć własnym oczom. — Co ty tu robisz? Skąd się tutaj wzięłaś?

Ponieważ w tej samej chwili rozległo się popłakiwanie dziecka, Claire skierowała się na górę, rzuciwszy tylko na odchodnym:

— Ja się tym zajmę, a wy tu sobie spokojnie pogadajcie, moi drodzy!

Mały Abe płakał wniebogłosy, mimo że siostra próbowała go uspokoić, coś mu tam czule szepcząc.

— To ty też już nie śpisz, Tara — spytała dziewczynkę Ciajre.

- Spałam, ale Abe mi przeszkadza - odpowiedziała Tara rezolutnie.

— A jemu pewnie przeszkadza, że się zsiusiał i ma teraz mokro — stwierdziła Claire. — Trzeba go przewinąć. Nie wiesz, gdzie mamusia ma pieluszki?

— A gdzie jest teraz moja mamusia?

— Twoja mamusia jest na dole, kochanie, rozmawia właśnie z wujkiem Bradem - wyjaśniła Claire - A gdzie są te pieluszki?

— Pieluszki są w mamusi torbie, o tutaj, w tej — Tara wskazała na niewielki sakwojaż, z jakim zdesperowana Mary Beth wypuściła się w podróż za ocean..

— Pomożesz mi — spytała Claire, wyciągając opakowanie pampersów.

Mała z powagą skinęła głową. Razem przewijały małego Abe, potem razem go uspokajały

Trochę to wszystko trwało, więc Braci i Mary Beth mieli dość czasu na wyjaśnienie sobie na osobności podstawowych spraw. Nim Abe usnął, oboje zjawili się na górze.

Mama - krzyknęła uradowana Tara, I wujek Brad!

To, kiedy wracamy do domu, jak wujek już jest — zwróciła się do matki.

Cześć, mała - przywitał siostrzenicę Brad i porwał ją na rękę.

— Dlaczego chcesz tak od razu zostawić wujka i wracać do domu — zapytał

— Chcę wracać, bo chcę do taty — wyjaśniła Tara i zrobiła, tak żalospną minkę, jakby za chwilę miała się z tęsknoty za ojcem rozplakać.

— Nic się nie martw, maleństwo wujek się zaraz dowie na lotnisku, kiedy będą wolne miejsca w samolocie — uspokoił siostrzenicę Brad,

— Wrócimy razem z wujkiem, kochanie — odezwała się do córki Mary Beth..

Brad postawił małą z powrotem na podłodze i zaczął klarować siostrze z tłumionym zniecierpliwieniem:

— Zechciej w końcu zrozumieć Mary Beth, że ja nie mogę teraz lecieć z wami. Przecież właśnie przed chwilą ci tłumaczyłem, że niczego jeszcze nie do prowadziłem do końca, że mam tutaj rozmaite zobowiązania... :

- Zobowiązania wobec rodziny są ważniejsze od wszystkich innych — przerwała mu Mary Beth.

— Jesteś im w tej, chwili bardzo potrzebny, Braci, więc cię zabieram ze sobą!

— Ale zrozum, że ja naprawdę nie mogę w tej chwili wracać do Stanów!

— W takim razie i ja nie wrócę! Zostanę z dziećmi tutaj, w Anglii.

— Co ty pleciesz, Mary Beth! Przecież Abe...

— Nawet mi o nim nie wspominaj — znowu przerwała bratu Mary Beth — Nie chcę rozmawiać ani o nim, ani z nim!

— A jednak musisz z nim porozmawiać — upomniał siostrę Brad. Jeśli już nawet nie z innych powodów, to przynajmniej ze względu na dzieci. Jest ich ojcem, ma w związku z tym pewne prawa.

- Żadnych praw - krzyknęła histerycznie Mary Beth.

— On nie ma żadnych praw, on się wszystkiego wyrzekł w chwili, kiedy zaczął się kręcić wokół tej...

— DOŚĆ, Mary Beth! Przestań — uciszył siostrę Brad i wskazał jej oczyma Tarę, która z szeroko otwartą buzią przysłuchiwała się burzliwej wymianie zdań.

- Jeśli już miałabym z nim rozmawiać — odezwała się Mary Beth trochę spokojniejszym i nieco bardziej ugodowym tonem — to tylko w twojej obecności, Brad. Po tym, co mi zrobił, nie

mogę się z nim spotkać bez Świadka, bo chyba bym mu oczy wydrapała!

Claire pomyślała w tym momencie, że popędliwość Mary Beth dorównuje jej poczuciu krzywdy i że te dwa negatywne impulsy, sumując się, wpędzają ją w pułapkę egoistycznej hysterii i skłaniają do podejmowania nieprzemyślanych, mało sensownych przedsięwzięć.

- Opanuj się trochę, Mary Beth. Nie szalej - ofuknął siostrę Brad. — Przecież sama przed chwilą mi powiedziałaś, że Abe cię zapewnia...

— I co z tego, że on mnie zapewnia — wybuchnęła ponownie Mary Beth.

- Wmawia mi bezczelnie to czy tamto, bo myśli, że jestem taka głupia i dam się nabrać! A ja dobrze wiem, co się dzieje i na co on sobie pozwala. Moja najlepsza przyjaciółka widziała na własne oczy! Ja mam dowody, Brad! I ja myślałam, że ty mnie kochasz, że ty nas kochasz, a ty...

Nie dokończywszy nieskładnej przemowy, Mary Beth zaczęła głośno płakać. Zaniepokojona płaczem matki Tara również się żałośnie —i donośnie — rozszlochała.

Claire uzmysłowiła sobie z przerażeniem, że, już za moment do chóru dołączy zapewne mały Abe, zaproponowała więc nieśmiało:

— To może ja wezmę dzieci na dół, a wy sobie tutaj porozmawiacie?

— Gdybyś była taka dobra, Claire — odezwał się Brad.

— Nie! Nie trzeba — w tej samej niemal chwili wykrztusiła przez łzy Mary Beth.

-Ja mu już powiedziałam wszystko, co miałam do powiedzenia Nie wracam bez niego do Stanów. Zostaję z nim tutaj, chociaż jest taki...

Rozszlochawszy się na dobre, pod wpływem emocji zaczęła bezładnie wyrzucać z siebie nie dokończone urywki zdań. — Chociaż. myślałam, że mi okaże. . że nam okaże trochę więcej zrozumienia, uczucia...

— To ja zostaję u wujka razem z mamą — wciąż głośno łkając, oświadczyła Tara.

— Oczywiście, kochanie, bez mamy nigdzie nie pojedziesz — włączyła się do rozmowy Claire.

— Ale chyba możesz zejść teraz ze mną na dół, do kuchni i pobawić się z małym kotkiem albo pomóc mi w pieczeniu ciasteczek?

— A jakich — zainteresowała się Tara.

— A takich, jakie najbardziej lubisz — odpowiedziała jej dyplomatycznie Claire.

— To możemy zejść! — Mała natychmiast zapomniała o płaczu. — Ja lubię serduszka i gwiazdeczki, i jeszcze...

Wyprowadzając rozszczebiotaną dziewczuszkę za rączkę z pokoju, Claire zauważyła w oczach Brada ogromne uznanie dla jej pedagogicznych talentów. Uśmiechnęła się do niego leciutko. On również, dyskretnie, tak żeby nie drażnić rozgoryczonej i wściekłej na cały świat Mary Beth, przesłał jej ciepły uśmiech.

Kruche ciasteczka były już prawie gotowe, kiedy Brad Stevenson i jego siostra zeszli wreszcie na dół i pojawili się w kuchni.

- Tak jakoś wyszło, że jednak polecę z Mary Beth i dziećmi do Stanów — odezwał się nieśmiało Brad.

- Tak? A kiedy - wykrztusiła Claire.

— Jeszcze dzisiaj. Udało mi się zarezerwować bilety na wieczorny lot. Przepraszam cię, Claire!

— Za co?

— No, za całe to zamieszanie i w ogóle...

— Tak w ogóle, to ja mam stanowczo za mało odżywki dla małego, Brad!

Nie będę go miała czym nakarmić w samolocie — wtrąciła się dość bezceremonialnie Mary

- Wielka szkoda, że wyruszając w podróż, nie pomyślałaś o tym, czy jesteś do niej odpowiednio przygotowana, ani o tym, jak ją zniosą to twoje dzieci — stwierdził nie bez zgryźliwości Brad.

— Zamiast się wysilać na pouczenia, lepiej byś mnie podwiózł do jakiegoś supermarketu — odcięła się Mary Beth

— Kupię odżywkę i już!

— To może ja z tobą pojedę — zaproponowała Claire.

— Nie trzeba. Od czego mam brata? Niech on ze mną jedzie

— burknęła w odpowiedzi niezbyt grzecznie Mary Beth.

W ciągu dnia Brad jeździł kilkakrotnie, a to po zakupy dla siostry, a to do banku, a to do biura firmy, że by uporządkować najpilniejsze sprawy i przekazać Timowi

niezbędne instrukcje. Ilekroć wracał, wyraźnie starał się zamienić z Claire parę słów na osobności, ale obecność siostry i jej latorośli za każdym razem mu to uniemożliwiała.

Dopiero późnym popołudniem, kiedy Mary Beth ułożyła dzieciaki w pokoju na górze, żeby się trochę przespały przed podróżą, a sama postanowiła wziąć dla odświeżenia prysznic, doszło pomiędzy nimi w kuchni do krótkiej rozmowy w cztery oczy.

— Claire, ja cię naprawdę bardzo przepraszam za całe to zamieszanie — zaczął Brad.

— To przecież nie twoja wina.

Niby nie, ale jednak...

- Rodzina to rodzina, Brad. Masz obowiązek pomóc siostrze, skoro ona tego tak bardzo potrzebuje.

— Jesteś cudownie wyrozumiała, Claire, skoro tak mówisz, bo ja mam wrażenie, że moja rodzina trochę za dużo mi narzuca tych rodzinnych obowiązków.

— Twoja siostra ma poważny problem.

Brad z rezygnacją machnął ręką.

— Ech, to się jeszcze okaże, czy naprawdę jest taki poważny — stwierdził -sceptycznym tonem. — Wiesz, ona zawsze, od małości, lubiła robić z igły widły.

- Jest chyba trochę impulsywna — zauważyła Claire.

- Delikatnie powiedziane. To typowy raptus. Pod wpływem emocji przestaje się liczyć z czymkolwiek i z kimkolwiek Claire, cała ta sprawa, z tym jej przyjazdem i moim wyjazdem, nie mogła wyniknąć w gorszym momencie, niż wyniknęła, słowo daję! Akurat teraz, kiedy my właśnie... kiedy ja właśnie... - - - -

Nie zdążył dokończyć tego, co być może miało być czymś w rodzaju — choćby najostrożniejszej — deklaracji jegouczuć wobec Claire

Przeszkodziła mu w tym siostra, wkraczając energicznie- do kuchni i stwierdzając napastliwym tonem:

— Nie pora teraz na romanse, Brad! Najwyższy czas szykować się na lotnisko!

Wyszykowali się i pojechali.

Zupełnie wytrącona z równowagi tym wszystkim, co jej się przydarzyło w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin, Claire analizowała po raz już któryś tam z rzędu, słowo po

słowie, przebieg tej popołudniowej, nie dokończonych rozmowy z mężczyzną, z którym wcześniej spędziła pierwszą w swoim życiu miłosną noc, gdy nie spodziewanie wpadła do niej Hannah.

Claire opowiedziała jej historię nagłego przyjazdu Mary Beth i nagłego wyjazdu Brada.

- A kiedy zamierza wrócić? - Hannah była jak zwykle konkretna.

— Powiedział, że mniej więcej za tydzień, jak wszystko dobrze pójdzie.

— To niechby poszło jak najlepiej, bo będzie ci pewnie za nim tęskno.

— Mnie? Bez przesady — Claire odruchowo, niejako z przyzwyczajenia, wyparła się wobec swatającej ją ustawicznie przyjaciółki swoich uczuć.

- Miałabym tęsknić za lokatorem? Też wymyśliłaś!

— Lokator nie lokator, ale zawsze chłop w domu, a to już się liczy dla samotnej kobiety — stwierdziła sentencjonalnie Hannah, puszczając do Claire perskie oko — No, chyba mi nie powiesz, że nie?

Claire Marshall nic na to nie odrzekła, zignorowała prowokacyjną uwagę przyjaciółki. Kiedy jednak została już sama, przypomniała sobie słowa Hannah i zaczęła się nad nimi poważnie zastanawiać.

ROZDZIAŁ DZI

Czasu do zastanowienia Claire Marshall miała mnóstwo, znacznie więcej, niestety, niż się spodziewała, ponieważ Brad Stevenson nie przyleciał ze Stanów do Anglii ani po tygodniu ani nawet po dwóch. Nie zadzwonił też zza oceanu ani do niej, ani do firmy

Dopiero w połowie trzeciego tygodnia od chwili nagłe go wyjazdu Brada, poważnie zaniepokojona, a równocześnie już po trosze zrezygnowana i mocno rozgoryczona Claire otrzymała od swego szwagra, Tima Burbidge'a, telefoniczną wiadomość o nim.

— Jeden z jego stryjów, Joe Stevenson, przeszedł ciężki, rozległy zawał serca, jest w szpitalu, wciąż na intensywnej terapii mówił Tim. Ponieważ ten drugi stryj też jest w kiepskiej formie, i to już od dawna, Brad ma teraz całą firmę

na głowie i pewnie się nie zjawi u nas w najbliższej przyszłości. Więc przynajmniej na razie jestem uratowany, Claire! - Tim Burbridge nawet nie próbował ukrywać swojej radości z takiego obrotu spraw, jakże niefortunnego dla Brada i Claire.

A może tylko dla mnie - przemknęło Claire przez myśl. — Może Brad już zapomniał o moim istnieniu, może jemu na mnie wcale nie zależy? Przecież nawet się nie wysilił, żeby do mnie zatelefonować

— Tim, czy on nic ci nie mówił, dlaczego do mnie nawet nie zadzwonił — spytała szwagra. — Ja się tu niepokoję, najgorsze myśli przychodzą mi do głowy. No i nie wiem, co mam zrobić z jego rzeczami, które u mnie zostały.

— Aż tak bardzo się o niego nie martw, Claire, przecież dla ciebie to tylko lokator, obcy, obojętny człowiek! Ty nie jesteś na szczęście od niego tak zależna, jak na przykład ja— odezwał się na to Tim.

— Rzeczy niech leżą, jak będzie trzeba, to mu się je elegancko spakuje i wyśle do Ameryki Na razie mc mi o nich nie mówił Wspomniał tylko, że po przylocie do Stanów dzwonił kiedyś do ciebie, ale cię wtedy nie zastał. A potem, jak już wyniknęła ta historia ze stryjem, to pewnie nie miał głowy do

telefonowania. Zresztą, skoro do mnie się odezwał dopiero dzisiaj, to niby dlaczego miałyby wcześniej dzwonić do ciebie? To przecież tylko twój lokator, Claire! Masz szczęście, że nie musisz się nim przejmować, nie musisz nawet pamiętać o jego istnieniu!

Claire pamiętała jednak, nie była w stanie zapomnieć.

Pamiętała pocałunki Brada, jego pieszczoty, uściski, pamiętała ciepło jego ciała i zapach jego skóry, pamiętała każde jego słowo, każde spojrzenie, każdy gest.

Pamiętała wszystko, co pomiędzy nimi zaistniało i co, niestety, tak nagle, tak szybko się skończyło.

Boże, a jeśli skończyło się na zawsze— zastanawiała się niejednokrotnie z niepokojem. — Jeśli minęło bezpowrotnie? Jeśli już nigdy więcej nie zobaczę Brada Stevensona, jeśli już nigdy nie usłyszę jego głosu, choćby przez telefon? Co wtedy ze mną będzie, co się wtedy ze mną stanie, jak to przeżyję, jak to przetrwam?

No cóż, jakoś przetrwam, tak jak przetrwałam inne trudne i smutne historie w moim życiu, pocieszała się zwykle z rezygnacją.. Pewnie spróbuję sobie wmówić, że tak jest lepiej:

zachować piękne wspomnienia, nie biorąc na siebie żadnych zobowiązań, przeżyć wspaniałą przygodę, nie narażając się na żadne kłopotliwe konsekwencje. Pewnie spróbuję uwierzyć, że dorosła, wykształcona, nowoczesna kobieta nie powinna zawracać sobie głowy czymś tak niemodnym, niedorzecznym i niepoważnym, jak miłość.

Mijały kolejne tygodnie.

Sally i Chris wrócili z podróży poślubnej i rozpoczęli codzienne życie małżeńskie na własnym domowym gospodarstwie

Tim Burbridge starał się jak najlepiej prowadzić sprawę brytyjskiej filii firmy klimatyzacyjnej Stevensonów.

Irene i Hannah odwiedzały dość regularnie - choć, oczywiście, nigdy nie w tym samym czasie— osamotnioną Claire Marshall, stwierdzając nieodmiennie, że jest jakoś dziwnie zamyślona i smutna. Claire tłumaczyła nie najlepszy stan swego ducha tym, że zapadła decyzja o likwidacji z końcem roku szkoły specjalnej, w której z taką satysfakcją pracowała, i skierowaniu po wakacjach niepełnosprawnych dzieci z okolicy do podobnych placówek w innych punktach miasta.

— Władze oświatowe może i wybrną w ten sposób z trudności finansowych — tłumaczyła rozżalona swoim rozmówczyniom - ale dzieciaki będą się musiały przyzwyczajać do nowych ludzi i nowych miejsc, co wcale nie jest w ich przypadku i takie proste, rodzice będą się musieli męczyć z dalekimi dojazdami. A ja? Cóż, ja stracę zajęcie, które było ostatnio czymś bardzo ważnym w moim życiu!

W podobny sposób Claire swoje przygnębienie wyjaśniła Sally, gdy ta wpadła do niej któregoś dnia wizytą.

— W takim razie powinnaś zająć się czymś innym, a najlepiej kimś innym - stwierdziła rezolutnie młoda mężatka. — Pamiętasz, co się stało z moją ślubną wiązką? Złapałyście ją wszystkie trzy: ty, Poppy i Star.

Każda z was powinna niedługo po moim weselu spotkać swojego księcia z bajki. Żadna się dotąd nie przyznaje, że już spotkała, więc może za słabo się rozglądacie? Radziłam przez telefon Star i Poppy, żeby o tym pomyślały, więc może pomyśl i ty!

— Nie żartuj sobie, Sally — obruszyła się Claire. — Poppy i Star niech się rozglądają za jakimiś oblubieńcami, czemu nie, jedna i druga to przecież panny na wydaniu. Ale ja?

Dziewczyno, ja przecież już mam swoje lata, by łąm mężatka,

zdażyłam owdowieć, odchowałam i wydałam za mąż córkę. W moim przypadku romans, a tym bardziej coś poważniejszego, jakiś trwały związek, w ogóle nie wchodzi w rachubę! W moim przypadku ta wróżba ze ślubnym bukietem nie ma najmniejszych szans się sprawdzić. Z Poppy i Star to zupełnie inna sprawa, ale jeśli chodzi o mnie, bądź łaskawa sobie zapamiętać, Sally: małżeństwo nie wchodzi w grę!

Gdyby Brad mógł usłyszeć przez ocean słowa Claire, pograżyłby się zapewne w jeszcze głębszym zamyśleniu. Ale i tak niewiele się odzywał podczas rodzinnego zjazdu, jaki urządzał regularnie już od wielu lat w rocznicę tragicznej śmierci rodziców, dla uczczenia ich pamięci i scementowania osieroconej rodziny. Ponieważ porą roku na jaką przypadła uroczystość, był początek lata, a bolesne wspomnienia o zmarłych z każdym rokiem nieuchronnie bladły, zjazd przybrał z czasem formę pikniku nad jeziorem, z pieczeniem kiełbasek, chóralnym, śpiewem, opowiadaniem dowcipów i różnymi towarzyskimi zabawami.

Brad nie miał nic przeciwko takiemu obrotowi Spraw, uważał go za rzecz naturalną, był wręcz zadowolony, że wśród Stevensonów panuje radość, a nie wieczna żałoba, że mimo niepowetowanej straty, jaką była śmierć matki i ojca, rodzina

nie poddała się, nie zmarniała, że w się szczęśliwie powiększa. Dlatego zwykle bawił się doskonale razem ze wszystkimi.

W tym roku jednak wyraźnie stronił od towarzystwa i unikał rozmów z kimkolwiek. Rzucało się to w oczy chyba każdemu z obecnych, ale tylko impulsywna Mary Beth miała odwagę zapytać brata wprost:.

— Dlaczego jesteś przez cały czas taki smutny i zamyślony?

Brad wzruszył ramionami i mruknął:

— Pewnie dzisiejsza rocznica tak na mnie działa;..

— Co roku ją przecież obchodzimy, a nigdy, przynajmniej w ostatnich latach, nie byłeś taki ponury, jak dziś. Powiedz, co cię gryzie?

- nie dawała za wygraną Mary Beth — A może, Brad — zaczęła głośno rozmyślać — może ty masz do mnie żal, że dotąd ci nie podziękowałam, co?

Nie wymyślaj niestworzonych rzeczy - obruszył się Brad - Niby za co miałabyś mi dziękować?

— No za to, że mnie nakłoniłeś, a właściwie zmusiłeś do przeprowadzenia szczerzej i poważnej rozmowy z moim mężem. Gdyby nie ta rozmowa, gdyby nie ty, braciszku, to pewnie byśmy się z Abe seniorem rozeszli.

— Na dodatek zupełnie bez powodu! — wtrącił zgryźliwym nieco tonem Brad.

— No wiesz — zaczęła się tłumaczyć zarumieniona ze wstydu Mary Beth. — Ja przecież byłam stuprocentowo przekonana, że są powody, poważne powody! To w końcu nie moja wina, że ktoś mi głupstw naopowiadał, że komuś coś się tam przywidziało.

— Nie wiem, czy jesteś winna, czy nie, siostrzyczko, ale twój problem polega na tym, że, po pierwsze, niepotrzebnie dajesz się ponosić własnej zapalczowości, a po drugie... — Brad zawahał się i zawiesił głos.

— Mów śmiało, beaciszku — zachęciła go Mary Beth. — Co po drugie?

— Po drugie, nie ufasz własnemu mężowi, człowiekowi, którego kochasz i który ciebie kocha. Ot co!

Mary Beth opuściła nisko głowę.

— To nie jest z mojej strony brak zaufania, Brad. A przynajmniej nie tylko — odezwała się z cicha — To raczej brak poczucia bezpieczeństwa. Wszystkim nam coś takiego dokucza, jak przypuszczam, bo za wcześnie straciliśmy rodziców. Los nas kiedyś dotkliwie zranił i dlatego teraz stale

boimy się ponownego zranienia. I dlatego ma my różne problem - taki, jak ten mój problem z Abem albo twój problem z samym sobą...

— Ale ci się dzisiaj zebrało na psychologiczne dywagacje, Mary Beth — przerwał siostrze Brad

— Czyli na poszukiwanie dziury w całym — pozwolił sobie na kpinę.

— Jakie ja mogę mieć problemy z samym sobą? Zastanów się, co mówisz, dziewczyno! Jeśli już mam jakieś problemy, a nie wierzę, nawiasem mówiąc, że dałoby się znaleźć na tym świecie kogoś, kto me ma żadnych, to me z sobą, tylko z wami wszystkimi, moi najmilsi Stevensonowie!

— Prawda, jesteś ojcem naszej rodziny, takim zastępczym ojcem, Brad, to dla nas zupełnie jasne. Troszczysz się o nas wszystkich, opiekujesz się nami wszystkimi, czuwasz nad nami i nad naszą rodzinną firmą, ostatnio zupełnie sam, odkąd stryjki nie mogą już pracować. Masz mnóstwo problemów w związku z tym, mnóstwo wątpliwości do rozstrzygnięcia, mnóstwo spraw do załatwienia. Wszyscy o tym wiemy i widzimy, Brad, że jesteś już zmęczony, że coraz częściej masz dość firmy i rodziny, że potrzebujesz odrobiny czasu, a może i nie tylko czasu, dla siebie.

Chwileczkę, Mary Beth

- znów przerwał siostrze Brad. — Czyżbyś została wydelegowana przez rodzinę z misją zbadania i ewentualnego podreperowania mojego nastroju, podobnie jak ja zostałem nie tak dawno temu wydelegowany do Anglii z misją zbadania i podreperowania kondycji tamtejszej filii naszej firmy?

— Nie, Brad! Nikt mnie do ciebie nie przysyłał, żadnych uzgodnień pomiędzy nami nie było. Mówię tylko we własnym imieniu. Ale życzę ci tego samego, czego życzą ci wszyscy w rodzinie żebyś znalazł w życiu swoje szczęście, własne, osobiste, przeznaczone wyłącznie dla ciebie. To ci się od życia naprawdę należy, Brad, słusznie ci się należy po tylu latach, które poświęciłeś dla innych! Dla nas...

Mary Beth była wyraźnie wzruszona, Brad również. Uściskał siostrę serdecznie.

A potem, gdy ona odeszła i wróciła do swego męża i swoich dzieci, on nadal stał na uboczu sam, równie posepny, jak przedtem.

Każdy w naszej rodzinie ma już kogoś dla siebie, pomyślał, spoglądając na Mary Beth i jej męża, z Tarą i Abe juniorem. Bracia się pożeniłi, siostry powychodziły za mąż. A ja? Lata

leca, a ja wciąż jestem sam. Owszem, z rodziną, w rodzinie, przy rodzinie, ale wciąż bez tej jednej, najbliższej osoby. Kiedyś o tym nie myślałem, nie zastanawiałem się, jak to właściwie jest. Marzyłem raczej o swobodzie i niezależności, niż o nowych uczuciowych związkach. Ale odkąd poznałem Ciajre.

- Do licha, dlaczego ona nie odpowiedziała na mój telefon — mruknął sam do siebie. — Prawda, nie było jej w do mu, kiedy dzwoniłem - uzmysłowił sobie, monologując dalej półgłosem. - No, ale przecież prosiłem Burbridge'a, żeby ją powiadomił, jakie tu mam problemy ze stryjkiem...

— A co tam tak mamrocześ sam do siebie, kochasiu, można wiedzieć — Stryj Joe, rekonwalescent po zawale, przerwał bratankowi monolog, podjechawszy do niego na elektrycznym wózku inwalidzkim, na którym na razie był zmuszony się poruszać, żeby oszczędzić swemu nadwreżonemu sercu nadmiernego wysiłku.

— Nic, nic, tak tylko się zacząłem głośno zastanawiać, jak też się stryjek bawi na naszym rodzinnym pikniku — odparł Brad.

— Ja bawię się świetnie, ale ty, mój drogi, jak widzę, raczej kiepsko.

- Skądże znowu! - zaproponował Brad. - Co też stryjkowi przyszło do głowy!

- Chłopcze, nie wmawiaj mi, że ktoś, kto stoi zasepiony na uboczu, z dala od reszty towarzystwa, robi to dla rozrywki. — Stryj nie dał się zwieść wymuszonemu uśmiechowi bratanka i jego dyplomatycznym zaprzeczeniom.

— Wyraźnie widzę po twojej minie, że coś cię gryzie, kochasiu. Mam zresztą wrażenie, że coś cię gryzie już od dawna, odkąd tylko przyleciałeś z Anglii.

— Przecież ledwie przyleciałem z Anglii, to stryjek trafił na intensywną terapię, z zawałem serca!

— Ale nie z bielmem na oczach, mój kochany — roześmiał się jowialnie Joe Stevenson. — Muszę ci powiedzieć, że kiedy nawet byłem już jedną nogą na tamtym świecie, to drugą w stałem po tej stronie i przynajmniej jednym okiem zerkałem, co się tutaj święci. I dobrze widziałem, jaki jesteś markotny.

- Martwiłem się o stryjka zdrowie!

— Wierzę, kochasiu, wierzę, że się o mnie martwiłeś, bo dobry z ciebie chłopak. Ale też wiem doskonale, że z moim zdrowiem było z każdym dniem coraz lepiej, a z twoim humorem z każdym dniem coraz gorzej. Ech, Brad! Najpierw

me chciałeś tam jechać, ale teraz coś mina to wygląda, że ty po prostu tęsknisz za Anglią. Pewnie z powodu jakiejś urodziwej Angielki, co? Przyznaj no się, kochasiu!

— Co też stryjkowi przyszło do głowy — obruszył się Brad

— Jaka Anglia, jaka Angielka?

— A co, może Szkotka? Albo Walijka, czy jakie jeszcze nacje zamieszkują tamtejsze wyspy. Stryj Joe zaczął się droczyć z bratankiem.

— Tamte wyspy są strasznie daleko stąd, po drugiej stronie Atlantyku - mruknął posepnie Brad.

- Aha więc już się nie wypierasz! To zawsze postęp, chłopcze
- stwierdził stryj. - I cóż z tego, że Są daleko? Przecież miłość me ma granic, a odległości też dla mej me istnieją, zwłaszcza w epoce pasażerskich odrzutowców.

— Ale są inne przeszkody, stryjku Joe!

- Jakie, na przykład?

- No, różne - wymijająco odpowiedział Brad.

— To trzeba je pokonać, mój kochany, nie masz innego wyjścia, jako prawdziwy mężczyzna. Pokonać! Wsiąść do samolotu, polecieć do Anglii. Jak to się dawniej mówiło? Nie ma złej drogi do swej niebogi, Brad. Trzeba polecieć, dogadać

się z dziewczyną, oświadczyć się, czy jak tam to teraz robicie i prosić krewniaków na wesele. No, chłopcze, dopuść starego stryja do sekretu! Jak ta twoja nadobna Angielka ma na imię, co?

- Claire, stryjku Joe. Claire - wykrztusił Brad ukrywając twarz w dłoniach.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minął okrągły kwartał od pamiętnego dnia ślubu Sally i Chrisa.

W przeddzień zaplanowanego spotkania z Poppy i Star, Claire Marshall zadzwoniła do swojej przybranej córki mężatki z trzymiesięcznym już stażem.

— I cóż tam ciekawego u was słyszać, młodzi małżonkowie - zapytała

— Och - nic szczególnego, Claire - odpowiedziała Sally.

— To znaczy... — Zawahała się i zawiesiła na moment głos.

— To znaczy jest taka jedna historia... Mówię ci, całkiem sensacyjna historia, strasznie mnie korci, żeby ci o wszystkim opowiedzieć, ale Chris... hmm...

— Ale co Chris, kochanie?

- Nnno... Chris mi zapowiedział, że bym jej niepotrzebnie nie rozgłaszała, skoro nie mnie dotyczy.

— Nie ciebie - upewniła się Claire — Bo już sobie pomyślałam, że ty za sprawą Chrisa, no wiesz...

— Nie, nie — zaprzeczyła Sally. — Nie zostaniesz babcią tak szybko, przecież zawsze ci mówiłam, że nie zamierzam rodzić przed trzydziestką! Tu chodzi o Poppy, wiesz, o tę kuzynkę Chrisa.

— Ach tak! Co z nią?

— Sensacyjna historia, Claire! Całkiem sensacyjna, słowo daję, ale nic więcej na razie nie mogę ci powiedzieć, niestety. Obiecałam Chrisowi, rozumiesz — Sally, wyraźnie niepokieszoną, że nie może się wygadać, lojalnie powstrzymywała się przed złamaniem złożonej mężowi obietnicy i starała się zachować dyskrecję, nawet wobec przybranej matki.

- Rozumiem, rozumiem obiecałaś - Chrisowi, że nie rozgadasz, a więc milcz, serce — pół żartem, pół serio odezwała się Claire. A ja się swoją drogą domyślam, że Poppy zastąpiła dotychczasowy obiekt swoich westchnień jakimś innym, lepiej wybranym Czy tak

Nie! To znaczy, tak! Chyba tak.. — Sally usiłowała jakoś wyplątać się z sieci, w jaką się zaplątała za sprawą własnego gadulstwa. - Nie, nic już więcej ci nie powiem, Claire, nie mogę, to delikatna sprawa. Ale mówię ci, będzie z tego sensacja, jak się już wyda! Sama się przekonasz.

- Jak się wyda, to się przekonam, jasna sprawa - zgodziła się z córką Claire. — Poczekam cierpliwie i na razie nie będę cię już ciągnęła za język, bo jeszcze mimo woli coś wypaplasz. -

— Och, Claire — jęknęła boleśnie Sally — Aż mnie ten mój przydługi język świerzbi, żeby ci wszystko ze szczegółami opowiedzieć! No, ale Chris... -

— Wiem, wiem, rozumiem! I dlatego już odkładam słuchawkę, żeby cię dłużej nie kusić. Cześć, kochanie! Pozdrów ode mnie swego dyskretnego małżonka!

Claire przypomniała sobie rozmowę z Sally, siedząc następnego dnia w restauracji, w której była umówiona na lunch z Poppy i Star.

- Przyszła pierwsza, jak przystało na inicjatorkę biesiady, i zajęła stolik, zamówiła u kelnera aperitify.

Za następne trzy miesiące — pomyślała prawdopodobnie spotkamy się w tym miejscu już tylko we dwie ze Star. A potem i Star znajdzie sobie jakiegoś adoratora. I zostanę sama z naszej trójki od ślubnego bukietu, z naszego anty małżeńskiego przysiężenia. Cóż, to przecież oczywiste, takim młodym dziewczynom, jak Poppy i Star, weselna wróżba powinna się spełnić, a mnie nie musi... nie może... W moim przypadku małżeństwo naprawdę nie wchodzi w grę! Skoro nawet romans m się nie udał.

Claire przypomniała sobie swoją tak cudownie rozpoczętą i tak niefortunnie zakończoną historię z Bradem Stevensonem. Czując, że łzy cisną się jej do oczu, czym prędzej sięgnęła po kieliszek z podanym już przez kelnera białym winem i wypłała niewielki łyk na poprawę nastroju.

Niejedną noc przeplakała z powodu nie dokończonego romansu i zawiedzionych nadziei, jakie nieśmiało wiązała z osobą Brada. Starła się o nim zapomnieć, to prawdą usilnie

próbowała przekonać samą siebie, że życie bez uczuciowych zobowiązań i bez mężczyzny jest tym, co najbardziej odpowiada jej naturze, ale. . No właśnie! Już na samo wspomnienie O przystojnym Amerykaninie dławiała ją tęsknota i wilgotniały jej z żalu oczy czy tego chciała, czy nie. I jeszcze, na domiar złego, dziwny, niepokojący dreszcz przenikał całe jej ciało, dreszcz pożądania...

— Witaj, moja droga! Jak to miło cię widzieć - Poppy jeszcze nie przyszła— Głośne powitalne okrzyki Star skuteczniej niż wino odwróciły uwagę Claire od smutnych spraw i obudziły uśmiech na jej posępnej dotąd twarzy.

— Do licha! A może już się wyłamuje z naszego układu?
Nie, nie —zaprzeczyła Claire. — Jeszcze nie. Za chwilę powinna się zjawić, dzwoniłam do niej, tak samo jak do ciebie. Na pewno będzie!

O wilku mowa - hej, tutaj siedzimy — Żywiołowa jak zawsze Star zerwała się z krzesła, na którym dopiero, co przycupnęła i słowami, jak i zamaszystymi gestami ręki zaczęła przyzywać Poppy do stolika

Poppy, w nieco szczuplejsza niż przed trzema miesiącami, wręcz wymizerowana, już na pierwszy rzut oka sprawiała

wrażenie osoby stojącej na rozdrożu i zmuszonej przez splot okoliczności do podjęcia tyleż ważnej, co trudnej decyzji.

- Cześć dziewczyny! Fajnie, że jesteście - przywitała Claire i Star, niepewnie dosiadają się do nich i zerkając za siebie w kierunku wejściowych drzwi restauracji, które przed chwilą przekroczyła.

- Witaj, Poppy — odpowiedziała jej Claire.

- Cześć, maleństwo! Siadaj, niczym się nie przejmuj, opowiadaj, o u ciebie słyhać -. zatrajkotała uśmiechnięta, od ucha do ucha Star. - Czyżby ktoś cię śledził?

Poppy zarumieniła się jak piwonia.

— Nie, skądże — zaprzeczyła energicznie, zajmując miejsce przy stoliku. — Ja tak tylko. jakoś zerknęłam do tyłu.. Co też ci p do głowy, Star! Kto mógłby mnie śledzić?

- Czy ja wiem? Może jakiś zazdrosny narzeczony?

Nabrał podejrzeń, że masz w tej restauracji randkę z innym, facetem ruszył za toba, żeby osobiście sprawdzić.

— Nie wymyślaj sensacyjnych historii, Star! Nikt mnie nie śledzi, nie mam narzeczonego, nie mam randki z facetem.

— Tylko z namikobietami.

— Właśnie! I twardo trzymam się przyrzeczenia, które sobie złożyłyśmy trzy miesiące temu.

- Ja też się trzymam, ma się rozumieć - dobitnie zadeklarowała Star.

— I ja, jak dotąd — odezwała się, trochę mniej przekonującym tonem, Claire,

Wypijmy za wolność — zaproponowała Star, unosząc w górę swój kieliszek z winem. — Precz z facetami! Precz z małżeństwem! Nasze kawalerskie, jeśli można tak powiedzieć.

— Skoro nie ma lepszego powiedzonka na tę okoliczność, to, czemu nie — roześmiała się Claire — Nasze kawalerskie! Za wolność!

— Za wolność — dołączyła się do toastu Poppy. Wypiły po aperitifie i zamówiły u kelnera coś do zjedzenia.

— Nie wiem, czy wy też, moje panie, ale ja jestem głodna jak przysłowiowy wilk i mogę zjeść przysłowiowego konia z przysłowiowymi kopytami - zapewniła współbiesiadniczki Star.

— Ja też z chęcią coś skonsumuję, ale już może bez kopyt - zażartowała Claire

Poppy nie powiedziała nic na temat swojego apetytu, kiedy zaś kelner podał główne danie, to ledwie skubnęła coś niecoś z talerza. Zerwała się z krzesła i pobladła nagle niczym kreda, wybiegła z restauracyjnej sali w kierunku hallu i przyległych do niego toalet.

— Co się dzieje z tą dziewczyną — zaniepokoiła się Claire.

— Czyżby miała, nie daj Boże, jakieś problemy z przyjmowaniem pokarmów? To podobno teraz prawdziwa plaga wśród nastolatek i młodych kobiet: bulimia, anoreksja...

Nie mam pojęcia, nie jestem z Poppy w kontakcie, na co dzień

— stwierdziła Star, przerywając spożywanie posiłku.

— Może lepiej zobaczę, co się z nią dzieje — rzuciła Claire.

Zerwała się z krzesła, wybiegła z sali restauracyjnej, wpadła do damskiej toalety.

Odetchnęła z ulgą, stwierdziwszy, że Poppy, już me tak chorobliwie blada, jak przedtem, stoi, przed lustrem i spokojnie poprawia sobie fryzurę.

— Wszystko w porządku — spytała ją jednak na wszelki wypadek.

— Tak, Claire, dziękuję. I przepraszam za tę scenę przy stoliku. Coś mi musiało zaszkodzić... nie tutaj, oczywiście, ale coś, co zjadłam wcześniej.

— Przecież tutaj nie zjadłaś właściwie nic.

— Właśnie. Już nie mogłam, miałam coś na żołądku, od jakiegoś czasu.

— Może to włoska kuchnia ci nie posłużyła?

Przypuszczenie Claire w widoczny sposób zdeprymowało Poppy i przyprawiło ją o silny rumieniec.

— Dlaczego mówisz, że włoska — wykrztusiła.

Mówię, że może włoska - wyjaśniła Cłami, trochę zaskoczona tak gwałtowną reakcją na tak niewinną uwagę — bo przecież podobno byłaś w tych dniach służbowo we Włoszech, prawda? Kiedy zadzwoniłam przedwczoraj, że by się upewnić, czy pamiętasz o naszym dzisiejszym spotkaniu, nie zastałam cię w domu, a twoja mama mi powie działa, że jesteś na jakiejś konferencji w słonecznej Italii.

No tak, byłam — potwierdziła Poppy.

— Udał się wyjazd?

- Owszem.

Widząc, że Poppy nie okazuje nadmiernej chęci do relacjonowania szczegółów swojego pobytu we Włoszech, Claire taktownie przestała ją o me wypytywać.

Wróciły do stolika.

- Czy wszystko już w porządku, dziewczyny? - powitała je pytaniem Star.

— Jak najbardziej — odpowiedziała Claire za siebie i za Poppy.

— To świetnie — ucieszyła się Star. — A wiesz ty, co, moja droga — zwróciła się z figlarnym uśmiechem do Claire. — Ostatnio romansuję sobie trochę z twoim szwagrem.

— Z Timem? Nie żartuj!

- Mówię poważnie, z Timem Burbidge'em.

Ale nie denerwuj się, łączą nas tylko sprawy służbowe — wyjaśniła Star. - Być może będę organizowała kampanię reklamową dla jego firmy, bo zbyt na urządzenia klimatyzacyjne z Ameryki, którymi Tim handluje, jest u nas podobno ostatnio zbyt mały i amerykańscy szefowie naciskają...

O właśnie! T przecież podobno znasz jednego z tych amerykańskich boss szwagra, niejakiego Brada Stevensona,

bo nawet mieszkał przez kilka dni u ciebie jako sublokator.

Jaki on jest prywatnie? Sympatyczny?

— Brad? Dosyć sympatyczny — odpowiedziała Claire, nagle krztusząc się i rumieniąc.

Star zerknęła na nią z ukosa, zaskoczona aż gwałtowną reakcją na tak niewinne pytanie.

Chciałam się tylko dowiedzieć, jaki on jest, na wypadek gdybyśmy mieli podjąć współpracę z nim w tej kampanii reklamowej — wyjaśniła.

— Tak, tak, rozumiem! Współpraca, wspólnie w zespół!

Claire starała się zatuszować zakłopotanie żartobliwym tonem. — Mam nadzieję — stwierdziła, że ułoży się wam bardzo dobrze!

A przynajmniej trochę lepiej niż nam — dodała z go ryczą już w myślach, spuszczając nisko głowę.

Lunch dobiegł końca.

Ciami, Poppy i Star umówiły się, że za następne trzy miesiące spotkają się znowu w tym samym gronie trzech zaprzysięgłych przeciwniczek małżeństwa i wyszły z lokalu.

Star, tłumacząc się jakimiś pilnymi służbowymi zobowiązaniami, w pośpiechu wsiadła do swojego samochodu

i odjechała. Zorientowawszy się, że Poppy nie przyjechała na spotkanie swoim samochodem, ale taksówką, Claire już chciała zaproponować jej podwiezienie, gby nagle przed restauracją przyhamował z piskiem opon sportowy jaguar.

Z jaguara wychylił się jakiś miody mężczyzna, bezceremonialnie złapał Poppy za rękę i ni mniej, ni więcej, tylko wciągnął czerwoną ze wstydu dziewczynę do środka.

Nim Claire zdążyła cokolwiek powiedzieć, w jakikolwiek sposób zareagować czy choćby wyrazić swoje zdziwienie, trzasnęły drzwi i jaguar ruszył szybko niczym rakieta, niemal natychmiast znikając za zakrętem

Sally miała rację, to naprawdę jakaś sensacyjna historia z tą Poppy — pomyślała Claire;— Jeśli ten jej nowy obiekt westchnień stale ją wozi po mieście w takim kawaleryjskim stylu, to nic dziwnego, że dziewczyna ma chroniczny rozstrój żołądka. Przecież to musi być gorsze odjazdy na karuzeli!

Claire Marshall zamierzała jechać prosto do domu, ale pod wpływem jakiegoś nieoczekiwanego impulsu, zatrzymała się po drodze przed głównym wejściem do miejskie go parku.

Zostawiła wóz i ruszyła aleją w stronę niewielkiego parkowego stawu, po którym pływała kaczka z gromadką

kaczątek. Ledwie Claire zatrzymała się na brzegu, przyzwyczajona przez spacerowiczów do dokarmiania kacza rodzinka skierowała się w jej stronę.

- Bardzo mi przykro, miłe kacuszki powiedziała z żalem, ale nie mam dla was nic do jedzenia, żadnego chlebka, żadnej bułeczki, ani okruszyny!

— Za to ja mam, całą kanapkę z samolotu!

Męski głos, który wypowiedział te słowa, przyprawił Claire o dreszcz i zawrót głowy. Spojrzała w stronę, z której dobiegał i zobaczyła...

Tak! We własnej osobie Brada Stephena!

— Cześć, Claire, miło cię znowu widzieć! Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę...

Widząc, że Claire blednie i chwieje się na nogach, Brad przerwał powitanie i podtrzymał ją za ramiona wyciągniętymi do przodu rękoma.

— Claire, co z tobą, co ci jest — zapytał z troską i nie pokojem.

- Nic, nic — odpowiedziała. — Tylko zakręciło mi się w głowie, pewnie z zaskoczenia. Nie spodziewałam się ciebie tu

zobaczyć, Brad. Nie myślałam, że cię jeszcze w ogóle kiedyś zobaczę.

- Nie mów tak, bardzo cię proszę - zaprotestował Brad i przyciągnął ją bliżej ku sobie. — Miałem w Stanach dość poważne problemy rodzinne i dlatego nie mogłem przyjechać wcześniej. Ale przez cały czas pamiętałem o tobie, przez cały czas myślałem, tęskniłem. I już do ciebie wróciłem, Claire! Już jestem! Wszedłem właśnie do parku, żeby spokojnie zebrać myśli, zanim do ciebie zadzwonię, zanim ci powiem... A tu taka miła niespodzianka!

Nie była w stanie wykrztusić bodaj jednego słowa, po stąpić kroku, wykonać jakiegokolwiek gestu. Pozwoliła Bradowi wziąć się w ramiona i pocałować.

Pocałunek był tak upajający i trwał tak długo, że Claire zatraciła poczucie czasu i w ogóle poczucie rzeczywistości, straciła pewność, że przeżywa to, co przeżywa me we śnie, tylko na jawie. Z obłoków na ziemię, do rzeczywistości, sprowadził ją dopiero przenikliwy gwizd, wydany na widok całującej się pary przez jakiegoś uczniaka.

— Może lepiej stąd chodźmy — zaproponował Brad, odrywając usta od jej warg. — Pojedźmy do ciebie, zgoda? Claire skinęła głową i szepnęła - Zaparkowałam wóz przed bramą.

Brad podał jej ramię. Wyszli z parku, wsiedli do samochodu.

— Bardzo mi ciebie brakowało, Claire — odezwał się Brad, nim jeszcze ruszyli z miejsca.

— Mnie ciebie też.

— To dlaczego nie zadzwoniłaś?

-A ty?

— Ja kiedyś do ciebie dzwoniłem, Claire, ale cię nie zastałem. Więc zatelefonowałem do Tima...

- To wiem.

— I poprosiłem go, żeby ci przekazał, jakie mam problemy ze stryjem...

— Tim mówił mi o chorobie twojego stryja.

— I żeby cię poprosił o telefon do mnie.

- O telefonie nic mi nie powiedział

- Naprawdę - zirytował się Brad.

— Pewnie zapomniał.

— A to niedołęga!

- Skąd mógł wiedzieć, że to takie ważne - Claire stanęła w obronie szwagra. — Przecież me miał zielonego pojęcia, że my...

— No tak! Pewnie myślał, że chcę z tobą grzecznościowo zamienić parę słów jako lokator, a nie jako... — Brad zawahał się.

- Jako, kto - wykrztusiła zmieszana.

— Jako kochanek, droga Claire, nie da się ukryć! I nie ma się, czego wstydzić, skoro oboje jesteśmy dorośli i bez zobowiązań.

— Daj spokój, Brad — obruszyła się Claire, zupełnie oszołomiona. — Lepiej jedźmy już do domu.

— Zgoda, jedźmy. A może ja poprowadzę?

Claire, półprzytomna z emocji, chętnie zgodziła się ustąpić Bradowi miejsce za kierownicą swojego samochodu i przesiąść się na fotel przeznaczony dla pasażera.

Ruszyli z parkingu. Po kilkunastominutowej jeździe za trzymali się przed domem.

— No, to jesteśmy w domu — stwierdziła Claire, chwytając głęboki oddech.

— W twoim domu — podkreślił Brad. — Ale i w moim — dodał zaraz i uśmiechnął się chytrze. — Bo wiesz, co mi powiedział trzy dni temu mój stryj Joe Stevenson? Że dom prawdziwego mężczyzny jest tam, gdzie jego serce. A moje serce należy do ciebie, Claire. Dlatego chcę być z tobą, chcę zostać z tobą na długo... na stale...

— Och, Brad! Ja też bez ciebie już chyba nie umiem... nie mogę żyć. Zrozumiałam to... odczułam to boleśnie kiedy wyjechałeś, kiedy cię przy mnie nie było.

— Wyjechałem z konieczności, Claire, a wróciłem z własnej woli, z potrzeby serca. Wróciłem i już z tobą jestem!

— Więc wejdźmy do domu.

Weszli do środka i skierowali się prosto do kuchni. Claire zaparzyła kawę, usiedli z filiżankami przy kuchennym stole.

— Wiesz co, Claire — odezwał się Brad. — Myślę, że powinniśmy od nowa ustalić warunki, skoro to i owo pomiędzy nami przedstawia się w tej chwili zupełnie inaczej, niż wtedy, kiedy zostałem twoim lokatorem.

— Tak? A co proponujesz?

— Po pierwsze, pobierzmy się!

— Brad — Zaskoczona Claire Marshall zerwała się z krzesła.

— Chcesz czy nie? — Brad Stevenson również uniósł się zza stołu. — Jeśli nie, to idę na górę i pakuję walizki — zagroził.

— Brad, nie! To znaczy, nie pakuj! Chcę, byśmy się po brali, bardzo chcę! Chociaż jeszcze niedawno myślałam, że w moim przypadku małżeństwo nie wchodzi w grę.

— Kocham cię, Claire!

— Ja też cię kocham, Brad!

Pali sobie w objęcia, zwarli się ustami w namiętym pocałunku. A potem on porwał ją na ręce i zaniósł na górę, do sypialni.

Kilka godzin później, cudownie wyczerpani ekstatycznym miłosnym misterium, leżeli przytuleni do siebie i rozmawiali o wspólnej przyszłości.

— Chciałbym mieć piątkę dzieci — stwierdził Brad.

— Ze mną?

— No, przecież nie z kimś innym!

— Ale...

— Żadne ale!

— Brad, bądź rozsądny, przecież ja już mam trzydzieści cztery lata!

— I co z tego? W Stanach kobiety coraz częściej rodzą pierwsze dziecko po trzydziestce.

— Od pierwszego do piątego daleka droga, Brad.

- Niekoniecznie! Możemy się postarać o pięcioraczki. Albo, chociaż o dwie pary W Stanach kobiety po trzydziestce często rodzą bliźniaki.

- W Stanach może tak, ale...

- Żadne ale!

— Skoro tak, to musimy przenieść się do Stanów.

- Chciałabyś? Naprawdę?

— Chcę tego, czego ty chcesz, Brad. A ty przecież chcesz dokończyć budowę tej swojej łodzi i popływać nią po tym swoim jeziorze!

— Ale z tobą, Claire!

— I z Fortuną, bo musielibyśmy ją zabrać.

— Zabierzemy!

— A mnie musiałbyś najpierw nauczyć żeglowania.

— Nauczę cię! Będziemy sobie pływać, całą rodziną, razem z dzieciakami.

— Brad, przecież ja nawet nie wiem, czy mogę mieć dzieci!

— Założymy się, że tak?

Claire roześmiała się i mruknęła:

— Obejdzie się! Jeszcze zdążymy to sprawdzić.

Kiedy po niespełna miesiącu brali ślub, już wiedzieli, że Claire jest w ciąży.

Wesela nie urządzali, tylko kameralne domowe przyjęcie dla najbliższej rodziny, tej angielskiej, to znaczy Sally, Chrisa, Irene i Tima, bo rodzinę amerykańską, czyli liczny i rozgałęziony klan Stevensonów, postanowili ugościć w Ameryce.

Następnego dnia rano obudził ich dzwonek do drzwi.

— Zejdę i zobaczę, kto ma czelność dobijać się tak wcześnie do nowożeńców, zaraz po poślubnej nocy. I chyba pogonię intruza - mruknął rozespany Brad, wyslizgując się z łóżka.

Po chwili wrócił, dzierząc w dłoni ogromny bukiet kwiatów.

— Poślaniec z kwiaciarni to przyniósł. Dla ciebie — poinformował Claire.

- Dla mnie - zdziwiła się. Ale, od kogo - mam wrażenie, że skądś znam ten bukiet.

— Przy bukiecie jest karteczka, przeczytaj!

Claire wyjęła z kopertki ozdobną wizytówkę i głośno odczytała starannie wykaligrafowany na niej tekst: „Jeden trafiony i zatopiony, dwa płyną!”

- O co tu chodzi, kochanie? — zapytał Brad.

— Jak to, o co, kochanie? O okręty — odpowiedziała mu z uśmiechem, rozpoznawszy w otrzymanym bukiecie wierną kopię ślubnej wiązanki Sally.

- Grasz w okręty?

- Na to wychodzi.

— A z kim, można wiedzieć?

— Z dwiema wspaniałymi dziewczynami, Brad! Jedna z nich ma na imię. Poppy’ a druga. Star.

